

TERESA KACZOROWSKA

WYRWANI Z GNIAZD

Agencja Wydawniczo-Reklamowa „TESS”
CIECHANÓW 1997

Recenzent i konsultant:
prof. Jan Ciechanowski

Projekt okładki i opracowanie graficzne:
Robert Kolakowski

Korekta:
Wanda Kalinowska

Zdjęcia:
*Zbiory prywatne bohaterów, Teresa Kaczorowska,
Arkadiusz Gołębiewski*

ISBN 83-908365-0-5

Copyright by Agencja Wydawniczo-Reklamowa „Tess”
Ciechanów 1997

Agencja Wydawniczo-Reklamowa „Tess”, Ciechanów 1997

Skład i łamanie: Pracownia Składu Komputerowego „GRAFIKA”, Ciechanów,
ul. Sikorskiego 4A/4
Druk i oprawa: Zakład Poligraficzno-Wydawniczy „Graf-Druk”, Ciechanów,
ul. Gostkowska 39L

NIEZAPOMNIANI...

Pracą Teresy Kaczorowskiej, w której opisuje ona w niezmiernie ciekawy i umiejętny sposób wojenne i powojenne koleje losu pięciu osób pochodzących z ziemi ciechanowskiej – trzech mężczyzn i dwóch kobiet – walczących w latach 1939-45 o niepodległość, które potem wbrew swej woli stały się emigrantami politycznymi, stanowi bez wątpienia poważny przyczynek do dziejów współczesnej Polski i Polaków.

Wszystkie te osoby łączy fakt, iż uczęszczały do średnich szkół w Ciechanowie. Później ich losy układały się różnie. Po czynnym udziale w wojnie, ich marsz z „ziemi obcej do polskiej” urwał się w momencie naszego zwycięstwa nad Niemcami. Na skutek uchwał jałtańskich i zajęcia Polski przez Armię Czerwoną, ze zwycięskich żołnierzy przemienili się oni w politycznych emigrantów. Osiedlili się w Wielkiej Brytanii i musieli zaczynać życie od nowa, egzystując w ciągłym rozdarciu pomiędzy krajem ojczystym a krajem osiedlenia. Autorka wierne i zajmująco opisuje zarówno ich wojenne losy i doświadczenia, jak i ich wrastanie w społeczeństwo bry-

tyjskie, działalność w emigracyjnych organizacjach oraz instytucjach w Wielkiej Brytanii.

Teresa Kaczorowska podkreśla słusznie, iż polska emigracja w Wielkiej Brytanii była, i jeszcze nadal jest, przede wszystkim emigracją żołnierską. Emigracją, która w latach 1945-80 zabiegała na Zachodzie o nasze prawa do niepodległości i swym istnieniem świadczyła o zniewoleniu kraju przez Moskwę. Emigracja ta starała się stworzyć i utrzymać małą Polskę nad Tamizą. Żyła ona w dużej mierze własnym życiem, obok brytyjskiej społeczności.

Przed emigracją tą zawsze stał dylemat: wracać czy nie; asymilować się czy do końca trwać przy polskości? W większości wypadków starano się trwać przy polskości, a zarazem starać się wejść jak najgłębiej w tok zawodowego życia kraju osiedlenia, co przy dużej tolerancyjności Brytyjczyków zazwyczaj się udawało. Czasami jednak polscy emigranci całkowicie odcinali się od Brytyjczyków.

Autorka pisze o tym wszystkim i umie pokazać blaski i cienie emigranckiego życia. Przedstawia nam polskie instytucje w Londynie, o których często zapomina się w kraju; takie jak: Instytut Polski i Muzeum Generała Władysława Sikorskiego, Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny, kościół św. Andrzeja Boboli, etc. Pokazuje materialny dorobek emigracji i poszczególnych emigrantów. Podkreśla ogrom włożonej pracy i wysiłków, aby instytucje te stworzyć i utrzymać. Nie ulega kwestii, iż Instytut Polski i Muzeum Generała Władysława Sikorskiego, umiejętnie i bezinteresownie prowadzone przez Ryszarda Dembińskiego, jest niezmiernie ważną dla nas wszystkich Polaków instytucją. Bez dostępu do złożonych tam

dokumentów rządu polskiego i naczelnego dowództwa Polskich Sił Zbrojnych na obczyźnie nie moglibyśmy nawet pokusić się o poznanie pełnej historii Polski i Polaków w czasie ostatniej wojny.

Autorka mówi również o dorobku literackim emigracji. Tym samym przybliża emigrantów i emigrację krajowemu czytelnikowi, z czego należy się niezmiernie cieszyć. Do niedawna bowiem w Polsce niewiele się pisało i mówiło o tej emigracji, choć stanowiła ona trwałą i solidny pomost łączący Polskę z Zachodem, a szczególnie z Wielką Brytanią. Emigracja ta przyczyniła się ogromnie do lepszego poznania Polski i Polaków przez Brytyjczyków.

Teresa Kaczorowska w oparciu o losy pięciu osób z Ciechanowa, w którym żyje i do którego jest strasznie przywiązana, pokazuje nam losy typowe nie tylko dla nich samych, ale również dla większości Polaków, którzy osiedlili się po wojnie w Wielkiej Brytanii. Maluje nam w miniaturze – w żywy, barwny i przystępny sposób – przybliżony wizerunek prawie całej, tak bardzo zasłużonej dla kraju emigracji. Chroni go od zapomnienia i zatarcia, utrzymując zarazem ten wizerunek we właściwej formie. Jej bohaterami i bohaterkami są zwykli ludzie, którym przyszło żyć i działać w niezwykłych czasach, co siłą rzeczy naznaczyło ich piętnem „niezwykłości”.

Z pracą Teresy Kaczorowskiej winni się zapoznać ludzie nie tylko pochodzący z Ciechanowa i ziemi ciechanowskiej, ale również historycy i wszyscy interesujący się dziejami naszej drugiej wielkiej emigracji politycznej. Emigracji, która utrzymała ciągłość naszej państwowości oraz żyła, działając cały czas na rzecz kraju.

Autorka przybliżyła jej obraz krajowemu czytelnikowi, za co należy się jej nasze wielkie uznanie.



Jan Ciechanowski – *Prof. historii, absolwent London School of Economice and Political Science. Wykłada na Thames Valey University w Londynie, a ostatnio także na Uniwersytecie Warszawskim i w Wyższej Szkole Humanistycznej w Pultusku. Członek Royal Institute of International Affairs, autor licznych książek, m.in. „Powstanie Warszawskie”, „Na tropach tragedii” i „Powstanie Warszawskie w nowym świetle”, „The Warsaw Rising”. Pisał do prasy brytyjskiej i polskiej, m.in. „Zeszytów Historycznych”, „Kultury”, „Polityki”, „Gazety Wyborczej”.*

Urodził się w 1930 r. w Warszawie, w rodzinie wojskowej. Przeżył Powstanie Warszawskie, niewolę niemiecką; w 1945 r. trafił do Włoch, a potem do 2 Korpusu gen. Władysława Andersa. Po zakończeniu wojny osiedlił się na stałe w Londynie.

OD AUTORKI

Pomysł napisania tej książki narodził się przed dwoma laty, po spotkaniu z Bolesławem Kuźmińskim, jednym z pięciu jej bohaterów. Latem 1995 r. przyjechał on z Anglii do Ciechanowa, odwiedzając m.in. Agencję Wydawniczo-Reklamową „Tess”, która rok wcześniej wydała biograficzną encyklopedię regionalną „Kto jest kim w Ciechanowskiem”. Opowieścią o swym niezwykle ciekawym życiu ten ciechanowski krajan przekonał wtedy, że jego biogram z tej encyklopedii należy koniecznie rozbudować.

Pomysł ten spodobał się rodakowi z Wysp. Po krótkiej wymianie korespondencji Bolesław Kuźmiński zaprosił mnie na ok. miesiąc do Birmingham, gdzie mieszka. Dzięki temu, podczas mego pobytu w Anglii wiosną 1996 r., mogłam również poznać i spotkać się z innymi ciechanowianami, zamieszkałymi od drugiej wojny w Anglii. Nielicznymi już, nazywającymi siebie „ostatnimi Mohikanami”, gdyż w ostatnich latach szeregi żołnierskiej emigracji w Wielkiej Brytanii niemiłosiernie stopniały (wystarczy wspomnieć choćby niedawno zmarłych dwóch pilotów RAF-u, synów ziemi ciechanowskiej: Jana Dziedzica i Henryka Szczęsnego).

W ten sposób powstało pięć niezależnych, ale łączących się ze sobą reportaży o losach zwyczajnych, a jednocześnie niezwykle ludzi. Walczących o niepodległą Polskę na wszystkich wojennych frontach drugiej wojny, a potem na obczyźnie, choć już bez broni w ręku. Emigrantów z konieczności, do końca życia rozdartych pomiędzy umiłowaną wolną Polską, a drugą ojczyzną – Anglią. Łączy ich fakt, że pochodzą z ziemiańskich rodzin ziemi ciechanowskiej. Wszyscy są też absolwentami gimnazjum w Ciechanowie (mężczyźni Gimnazjum im. Zygmunta Krasińskiego, a kobiety Gimnazjum im. Michała Choromańskiego), wszyscy też zdecydowali się osiedlić po drugiej wojnie w Wielkiej Brytanii. Ich drogi na Wyspy były jednak bardzo rozmaite, często wręcz niewiarygodne. Losy te są z pewnością podobne do całej rzeszy polskiej emigracji żołnierskiej. Mam nadzieję, że dzięki tej książce uda się je ocalić od zapomnienia.

Pragnę podziękować wszystkim, którzy przyczynili się do ukazania się tej pozycji. Szczególnie Bolesławowi Kuźmińskiemu i Józefowi Mossakowskiemu, którzy w Anglii się mną opiekowali; prof. Janowi Ciechanowskiemu z Londynu za recenzję oraz ocenę historyczną tekstu, a Stowarzyszeniu „Wspólnota Polska”, Wyższej Szkole Humanistycznej w Puławach i przedsiębiorcy Mirosławowi Koźlakiewiczowi za pomoc w jej wydaniu. Mam nadzieję, że ta napisana po reportersku, choć posługująca się różnymi technikami dziennikarskimi pozycja, przybliży czytelnikom rzadko opisywane losy polskich emigrantów oraz najnowszą historię naszego kraju.

Ciechanów, lipiec 1997 r.

TERESA KACZOROWSKA

U ARTYLERZYSTY, PILOTA RAF-u, PEDAGOGA

Poniedziałek, 22 kwietnia 1996 r., po dziewiętnastej. Deszcz. Na dworcu autobusowym w Birmingham wita mnie Bolesław Kuźmiński. Dystyngowany, szczupły, niewysoki. Z sumiastymi siwymi wąsami i wyjątkowo krzaczastymi brwiami. Ciepły, serdeczny, sprawiający jednak wrażenie zamkniętego w sobie.

Wsiadamy do czarnej angielskiej taksówki. Szerokiej, bardzo wygodnej; czuję się w niej jak w gondoli.

– Pani wie ile mam lat? – pyta Bolesław Kuźmiński, nie oczekując odpowiedzi. Nawet w taksówce siedzi wyprostowany; z klasą; oszczędne ruchy. Niebieskie oczy przypatrują mi się bacznie spod krzaczastych brwi.

Zadając pytanie wie, że jego biogram znajduje się w regionalnej encyklopedii pt. „Kto jest kim w Ciechanowskiem”. Przypuszcza więc, że choć widzimy się po raz pierwszy, znam jego wiek.

– Ale ja się wcale nie czuję na swoje lata... – zastrzega, uśmiechając się tajemniczo pod wąsem.

Z Ukrainy do Ciechanowa

Urodził się 25 maja 1920 r. w Berdyczowie, na Ukrainie. Matka, Anna z Sarnickich, drobna, średniego wzrostu brunetka, była pielęgniarką. Ojca, oficera carskiej marynarki wojennej, zna tylko z fotografii. Według opowiadań matki urodził się on w 1894 r. w ziemiańskiej rodzinie na Podlasiu. Po wojnie domowej w Rosji i zwycięstwie bolszewików, jako były oficer marynarki carskiej, ukrywał się. W 1919 r. uciekł do Polski i wieść o nim zaginęła.

– Zawsze jestem dumny, że urodziłem się w katolickiej Polsce – opowiada Bolesław. – Może dlatego przez całe życie czuwała nade mną Opatrzność?

Mnoży przykłady opieki boskiej.

Kiedy miał zaledwie kilka tygodni, a było to podczas walk z bolszewikami w 1920 r., ocalał cudem w berdyczowskim szpitalu. Pracowała tam jego matka. Wszyscy chorzy zebrali się w holu i modlili się nad jego łóżeczkiem. Wierzyli, że pociski w nich nie trafią, bo jest z nimi niewinne niemowlę. Okazało się, że skutecznie.

Albo:

– Będąc dzieckiem miałem wielkie wrzody przy odbytnicy – wspomina. – Matka odchodziła od zmysłów, bo nie było wtedy na to lekarstw. Ale Bóg znowu pozwolił mi wyjść i z tej opresji. Wrzody zagoiły się same, choć blizny zostały do dziś.

Tak było wielokrotnie w jego 76-letnim życiu. Dlatego od lat każdy dzień w Birmingham zaczyna od pokłonienia się Bogu. Regularnie, przed zrobieniem codziennych sprawunków, wstępuje do odległego od jego domu o kilka ulic katolickiego kościoła. Klęka przed

oszklonym, zamkniętym jeszcze wnętrzem i przez kilka minut gorliwie się modli.

– Wiara w Boga pomogła mi przetrwać na tym wygnaniu – tłumaczy.

Ojca nie mógł poznać. Umówił się on z matką, że po wojnie polsko-bolszewickiej uciekną do Polski i spotkają się w Ciechanowie. Na ul. Płońskiej mieszkała tam kuzynka matki, też z Berdyczowa, która wyszła za mąż za Wyznera z Sułkowa, późniejszego cieślę w Ciechanowie.

– Matka zdołała się przedrzeć ze mną na rękę – opowiada Bolesław Kuźmiński. – Ojcu widocznie się nie udało, bo nigdy nie dał znaku życia. A może przeżył, tylko się nie odezwał? Zawsze, spotykając kogoś o nazwisku Kuźmiński, pytam o powiązania rodzinne. Nie trafiłem jednak na ślad ojca...

W 1921 r. zamieszkał wraz z matką w Ciechanowie, w jednym pokoiku, od szczytu domu Wyznerów. Pamięta, że matka miała niebieskie oczy, gładko się czesała i była dobra. Pracowała jako pielęgniarka w położonym nieopodal Szpitalu Komunalnym, który powstał przy dużym jej udziale, jako jedynej w mieście posiadającej pielęgniarski dyplom. Jedną z pierwszych scen, które mu się nad Łydynią utrwaliły, to furmanki wożące buraki do ciechanowskiej cukrowni.

– Ponadto już w wieku trzech lat wiedziałem, że dzieci nie przynosi bocian, tylko wychodzą one z mam – chwali się. – Ale niemal do dorosłego wieku byłem przekonany, że wychodzą pępkiem! – śmieje się, wspominając z rozrzewnieniem młodość spędzoną w Ciechanowie.

Po czterech latach, w 1924 r., matka, nie doczeka-

wszy się ojca, wydała się za Juliana Lesiowskiego. Też pochodzącego z Berdyczowa, mechanika z ciechanowskiego młyna, należącego wówczas do Żyda Chuny Wajnsztoka.

– Ojczym mój był zacnym i dobrym człowiekiem. Przez całe życie traktował mnie jak własnego syna, dlatego noszę po nim drugie nazwisko – Lesiowski. Po ich ślubie przenieśliśmy się do jego mieszkania na ulicę Małgorzacką, nie opodal młyna.

Pamięta, że na tej ulicy chodził w latach 1927-29 do przedszkola u pani Biechońskiej. Potem, jako dziewięcioletni chłopiec, zdał egzamin do miejscowego Gimnazjum im. Zygmunta Krasińskiego.

– W szkole nie szło mi najlepiej – opowiada. – Szczególnie z przedmiotów ścisłych i łaciny. Poza tym byłem indywidualistą, trudno było mi się porozumieć z rówieśnikami.

Zamiast nauki wolął podglądać przyrodę, tropić zające i kuropatwy, hasać po Tatarach, czyli stawach i bagnach okalających wówczas Łydynię. Docenił go tylko gimnazjalny nauczyciel przyrody Stefan Metelski. W pamiętniku Bolka napisał: „Pamiętaj Kuźmiński, że masz w sobie wielki dar. Umiesz czytać Wielką Księgę Natury! Rozwijaj to w sobie, wtedy Twoje życie będzie łatwiejsze.”

– Słowa te przyjąłem za motto swego życia, choć piątą klasę musiałem powtarzać – wyznaje wzruszony.

W gimnazjum przeżył też pierwszą miłość. Uważa jednak, że był zbyt młody, niedojrzały i nieśmiały; miał zaledwie 14 lat.

– Zapalałem uczuciem do „Muszki” Słońskiej, lecz ona puściła mnie kantem i wybrała innego, z handlówki

– wspomina z nostalgią. – Nawet tańczyć się dla niej nauczyłem. Romansowałem więc potem ze Stachną, siostrą dziewczyny mego kolegi, Stasia Hikierta.

Poza młodzieńczymi uczuciami do dziewcząt i przyrody, emocje swe przelewał na działalność artystyczną. W gimnazjum występował na scenie, deklamował wiersze, pisał też własną poezję. Był – obok o dwie klasy starszego Wincentego Zgliczyńskiego – najbardziej znany szkolnym artystą. Do dziś doskonale pamięta recytowane strofy. Najbardziej swoje własne, jak na przykład wiersz „Pożegnanie”. Wygłosił go podczas uroczystości wręczenia świadectw maturalnych, w obecności rodziców, władz miasta i kuratorium. Dziś, w Birmingham, deklamując go łamiącym się głosem, płacze... I przeprasza za łzy...

„Jak dziś pamiętam, było to przed laty,/gdym zdawał egzamin do pierwszej klasy./Młodość mię żarła i lęk mnie ogarniał,/przed innym i nowym tym życiem/cieszyłem się jednak, cieszyłem się w duchu skrycie.../Przed dziewięciu laty to było, a zdaje się, że było to wczoraj/minęło, jak sen przemija, jak nocy wiosennej pora./Przeżywałem tu różne koleje, i przemianę z dziecka w człowieka/I miłość pierwszą, i zawód, i chwile gdy się na stopnie czeka./A ileż złorzeczeń padło w te mury,/jakie przekleństwa, wyzwiska,/jednak gdy teraz opuścić je trzeba,/żał dziwny za serce ściska./Przyszedeł wreszcie egzamin od lat wyczekiwany,/przyszedeł, i przeszedł, i minął/a za nim w ślad czapka, mundurek/i regulamin szkolny zaginął.../Przed nowym okresem życia/znów mnie trapi niepokój/i lęk ogarnia mą duszę,/szczęśliwe-li ono będzie?/Czy wiele zawodów znieść muszę?/Ale odchodzę z uśmiechem na ustach,/choć nie wiem jaka przyszłość nam zapisa-

na./Nam czas na nowe zmagania./Żegnaj szkoło kochana... ”.

Gimnazjum w Ciechanowie Bolesław ukończył w 1938 r. Cztery lata wcześniej, w 1934 r., urodziła się Julia Lesiowska, jedyna jego przyrodnia siostra. Też pisała wiersze. Okazało się jednak, że śmierć zgasiła ją przedwcześnie i nie zdołała rozwinąć swego talentu. Żyła zaledwie 11 lat...

W kolebce przemysłowej rewolucji

Rozmawiamy w obszernym domu Bolesława, przy 18 Willow Ave w Birmingham, oddalonym o kilka przystanków od centrum tej trzymilionowej stolicy gospodarczej Anglii. Miasto to uważane jest za kolebkę światowej rewolucji przemysłowej, która rozpoczęła się w drugiej połowie XVIII wieku. Anglia wówczas, za panowania Jerzego III i IV, wyprzedziła w tym początku ery węgla, pary, żelaza i maszyn, całą resztę świata. Dowody na to istnieją do dziś. Niedaleko Birmingham stoi jeszcze oryginalny, świetnie zachowany piec Abrahama Derby, w którym pierwszy raz na Ziemi masowo wytapiano rudę żelaza. Inne cuda techniki z tamtych lat, m.in. pierwsze maszyny parowe Jamesa Watta, także lokomotywy, samoloty, samochody, broń (Birmingham to duży ośrodek zbrojeniowy w czasie I i II wojny) można obejrzeć w dużym miejscowym Muzeum Nauki i Techniki.

Metropolia, położona w centrum okręgu przemysłowego Black Country, jeszcze do niedawna była nazywana „wielką kuźnią”, ze względu na mnogość fabryk, hut, zakładów przemysłowych; również kopalń, obecnie

przeważnie zamykanych. Tutaj też wymyślono cały system kanałów niezbędnych do transportu wytwarzanych towarów, wywożonych do Londynu i dalej w świat przez kanał La Manche. Ich długość w samym mieście jest dwukrotnie większa jak w Wenecji. Sieć kanałów, wraz z licznymi śluzami, funkcjonuje zresztą do dziś, choć głównie dla celów rekreacyjnych. Obecnie w starych, lecz stylowo i bardzo pomysłowo przebudowywanych fabrykach, powstają nad wodą nowoczesne hotele i restauracje, puby. Liczne żelazne mosty oraz tereny wzdłuż kanałów są ulubionym miejscem spacerów mieszkańców. Nie tylko zresztą spacerów; tutaj też buduje się najdroższe w mieście domy i mieszkania w blokach, w których ludzie chcą wyjątkowo mieszkać (w innych dzielnicach bloki są burzone).

– Czy pomyślał Pan, że spędzi niemal całe życie poza Polską? – pytam.

– Nigdy! Wciąż jestem tutaj tylko ciałem. Moje serce jest w Polsce, w Ciechanowie, zaś dusza we Włoszech.

Nie jest łatwym rozmówcą. Opowieść o sobie odkładał przez kilka dni tłumacząc, że musi zebrać siły. Uczuciowy, wrażliwy, bardzo przeżywa przypominanie swej przeszłości. Musimy robić długie pauzy.

Od 13 lat, czyli po śmierci żony Izabeli, Szkotki z rodziny MacFarlane, mieszka samotnie. Synowie, ożenieni z Angielkami, dawno już pozakładali własne rodziny; 44-letni Julian – 50 km od Birmingham, zaś o 12 lat młodszy Hemisz – w Londynie.

Jedynie flat (mieszkanie) na ostatniej kondygnacji, czyli drugim piętrze swej szeregowej kamienicy, Kuźmiński wynajmuje studentowi miejscowego uniwersytetu. Lokator żyje jednak własnym, bardzo spokojnym

życiem i nie wchodzi w kontakty towarzyskie z gospodarzem. Ma czekoladową skórę, a jego rodzice są z Kenii, którzy – podobnie jak inni obywatele byłych kolonii brytyjskich – mogli wybrać obywatelstwo miejscowe lub brytyjskie. Oni zdecydowali się żyć na Wyspach.

– Ja jednak wracam do Kenii – zapowiada wysoki Hamid Shach. – Będę tam nauczycielem.

Cały dom Kuźmińskiego liczy na parterze i dwóch piętrach aż dziewięć pokoi. Jest wkomponowany w ścisły ciąg kamienic, tworzących długie ulice zabudowane szeregowymi willami. Ma ciemnoniebieskie okna (z obowiązkowym w tym kraju jednym dużym, tzw. oknem zatokowym) oraz szarą elewację. Przed nim warkocze swe ściele ogromna, 30-letnia płacząca wierzba.

– Sam ją sadziłem – chwali się właściciel.

Z tyłu, podobnie jak u wszystkich użytkowników angielskich domów, jest ogród (ok. 7 jardów). Nieco zaniedbany, ale kwitnie akurat forsycja i zazieleniło się kilka dębów. Też zasadził je gospodarz, tym razem z żołądźi.

Mieszkam na pierwszym piętrze, w najpiękniejszym pokoju tego oryginalnego domu. Mnóstwo luster. Lustzana jest niemal cała ściana, stworzona z pięciu dużych drzwi ogromnej szafy; także część drugiej, gdzie stoi stylowa toaleta. Pokój jest duży, wyłożony różowymi tapetami; z dwoma tapczanami, elektrycznym kominem (który sobie często włączam), czarno-białym telewizorem, ławą, fotelami, książkami. Wśród licznych bibelotów wyróżniają się wazy i wazon z pięknej ceramiki, a na ścianie japoński obraz haftowany jedwabiem.

Korzystam z położonej obok łazienki. Chłodnej, w kolorze zgnilej zieleni, ale z zawsze gorącą wodą (wodę

Anglicy oszczędzają, traktując ją niemal jak skarb). Reszta domu jest mocno zagracona, pełna różnych pomieszczeń, schowków, mebli oraz przeróżnych poupychanych przedmiotów. Wszędzie słychać dźwięki starych zegarów. Większych i mniejszych, wiszących i stojących, nierówno odmierzających czas, bo wybijających godziny o różnych porach dnia i nocy. W holu, na parterze, leży wiele paczek, mocno utrudniających ruch, m.in. wejście na schody prowadzące na górę. Pakunki te są zaadresowane do dyrektora ciechanowskiego szpitala Zenona Truszewskiego.

– Jest to sprzęt medyczny: strzykawki, cewniki, środki opatrunkowe – wyjaśnia gospodarz. – Zdobywam je w naszym miejscowym szpitalu, gdzie są niepotrzebne, choć te tutaj zapakowane warte są ponad 500 funtów. Sam je pakowałem, adresowałem paczki. Największy problem to transport do Polski.

W Anglii króluje „cup of tea”, czyli herbata. Parzona obowiązkowo w czajnikach, podawana z mlekiem, dziś najczęściej bez cukru. Pija się ją kilka razy dziennie. Od „cup of tea” zaczyna się dzień, pije się ją – obok piwa – podczas lunchu oraz podaje na koniec dinner, czyli późnego obiadu, najbardziej obfitego posiłku w ciągu dnia.

Kuźmiński gotuje sam. Potrafi nawet samodzielnie usmażyć konfitury. Jego kuchnia połączona jest z ogrodem oraz ze skromną jadalnią, w której spędzamy najwięcej czasu. Jest tu kominek na gaz, ciężki dębowy stół i kredens. Dużo książek, pamiątek. Na ścianach polskie plakaty i kalendarze, na stole polska prasa i biało-czerwone, nieco nad Wisłą już zapomniane goździki.

Przykłada dużą wagę do racjonalnego odżywiania.

Całymi godzinami, powoli, z uśmiechem spod swych siwych wąsów, potrafi rozprawiać, co organizm musi otrzymywać, aby był sprawny i zdrowy.

– To moje hobby. Dzięki niemu prawie w życiu nie chorowałem. Ostatni raz położyłem się z gripą do łóżka 13 lat temu.

Jego śniadanie to przeważnie zupa mleczna (musli z owocami, orzechami, nasionami) i „cup of tea”. Lunch, ok. godz. 14.00 – najczęściej grzanka z masłem i żółtym serem, jajecznica lub parówki; obiad, godz. 18.00 – najobfitszy posiłek; jest to ryba lub mięso z ryżem, ziemniakami i warzywami albo pizza, risotto, spaghetti.

Na powitanie przyjmuje mnie pizzą, „cup of tea” i czerwonym hiszpańskim winem. Dyskutujemy niemal do drugiej w nocy. Jest spragniony Polski, ciekawy wydarzeń, a także aktualnego spojrzenia na wiele kwestii przez przybysza z jego Ojczyzny. Od czasu tych nocnych pogwarków mówimy sobie po imieniu, co w Anglii jest naturalne.

Na wojnę prosto ze służby wojskowej

Po maturze w 1938 r. 18-letni Bolesław został przyjęty na Uniwersytet Warszawski, na weterynarię; choć zawsze marzył o medycynie. Wiedział jednak, że na ulubioną specjalność nie ma szans. Wymyślił więc sobie, że po pierwszym roku weterynarii się na nią przeniesie, co wtedy było możliwe.

Studiów jednak nie zdążył rozpocząć.

– Postanowiłem najpierw pójść do wojska, żeby mieć

potem spokój. Zgłosiłem się na ochotnika, dzięki czemu mogłem wybrać broń. Zdecydowałem się na artylerię, bo kojarzyła mi się wówczas z porządnym wojskiem oraz konną jazdą.

Interesował się też lotnictwem. Już w szóstej klasie gimnazjum, razem z Jankiem Dziedzicem (późniejszym pilotem RAF-u, osiadłym po wojnie pod Londynem; zmarł w 1994 r.) założyli koło modelarskie.

– Do lotnictwa też jednak trudno się było dostać. Jankowi się udało, uczył się w Szkole Orląt w Dęblinie. Ja postanowiłem pójść do Włodzimierza Wołyńskiego, do Szkoły Podchorążych Rezerwy Artylerii – tłumaczy.

Szkołę we Włodzimierzu wspomina jednak dobrze; po raz pierwszy uczył się tam samodzielnego życia.

Pamięta, że i tam czuwała nad nim Opatrzność. Któregoś dnia koń, podczas ujeżdżania, kopnął go mocno w pierś. Stracił przytomność; wszyscy myśleli, że już po nim. Odżył jednak i dosiadł konia, dostając od dowódcy baterii pochwałę za popis oficerskiej odwagi.

W Włodzimierzu służył razem z Tadkiem Wrotnym, kolegą z gimnazjalnej klasy; ze wsi Gąski pod Ciechanowem.

– Był biedny, do szkoły przychodził zawsze piechotą – pamięta Bolesław. – Ale uczył się doskonale, po wojnie został profesorem na Politechnice Warszawskiej.

We Włodzimierzu też był prymusem. Los sprawił, że Bolesław miał w nim ogromne wsparcie; Wrotny pomagał mu szczególnie z przedmiotów ścisłych, z których młody Kuźmiński nigdy nie był mocny. W zamian Bolek

dzielił się z nim smakołykami z paczek, które przychodziły od jego rodziny z Ciechanowa.

– Gdyby nie Wrotny, nie poradziłbym sobie w tej szkole – mówi o koledze z wdzięcznością. Kontakt z nim stracił dopiero niedawno; nie jest pewien czy w Warszawie on jeszcze żyje.

Pierwszą dwumiesięczną praktykę pułkową, w czerwcu 1939 r., Bolesław odbywał w 1 Pułku Artylerii Ciężkiej (1 PAC) w Modlinie. Nie doczekał jednak przeniesienia do rezerwy, ani też rozpoczęcia swych studiów na weterynarii. Akurat na zakończenie praktyki, kiedy to otrzymał stopień kaprała podchorążego, wybuchła wojna.

Jego udział w kampanii wrześniowej w 1 PAC trwał zaledwie sześć dni. W Garwolinie, już podczas odwrotu, spotkał kolegów z Włodzimierza, jadących ciężarówką na Wschód. W lasach biłgorajskich na początku października walczył jeszcze z wycofującymi się Niemcami w samodzielnej grupie pod dowództwem płk. Alojzego Choraka. Broń złożyli Sowieci, którzy zapewniali, że przyszedł na polskie ziemie, aby przeciwdziałać okupacji Rzeczypospolitej przez Niemców.

Kiedy doszli do Włodzimierza, po tzw. „bumagu”, Sowieci zamknęli ich w koszarach. Po dwóch miesiącach internowania udało mu się z kolegą, podchorążym Tolkiem, zbiec. Najpierw do Lwowa, dalej przy pomocy Polaków do granicy, którą przekroczył w drugiej połowie grudnia.

– Gdybym nie uciekł, trafiłbym do łagru, na katorgi i zginąłbym jak inni oficerowie. Znowu poczułem, że czuwa nade mną Opieka Boska... – wzdycha z ulgą.

W kampanii francuskiej

Wigilię 1939 r. przeżył na węgierskiej wsi. Za sprzedane skórzane buty mógł kupić bilet i dojechać koleją do Budapesztu. Tam, w polskiej ambasadzie, wyposażono go w dokumenty, cywilne ubranie i kazano czekać na ewakuację do Francji.

Do Paryża, a potem do Laroche-Sur-Yon w zachodniej Francji, gdzie było centrum wyszkolenia artylerii, przybył pod koniec stycznia 1940 r. Stamtąd, po miesiącu, wyjechał na front z I Dywizją Grenadierów jako podporucznik i dowódca plutonu artylerii ciężkiej. Po kapitulacji Francuzów, dzięki znajomości języka niemieckiego (wyniesionej z ciechanowskiego gimnazjum) oraz wielu, często wręcz niewiarygodnym pomysłom (np. gdy pojmali go Niemcy, zagrał rolę francuskiego rozhisteryzowanego młodzieńca; jak się okazało skutecznie, bo wyglądał młodo), udało mu się uciec, tym razem z niewoli niemieckiej.

Żyjąc przez dwa tygodnie tylko czereśniami z przydrożnych drzew, dotarł do Lyonu, i dalej do Marsylii. Przez tamtejsze polskie biuro konsularne próbował przedostać się do Anglii, by dołączyć do tworzonego tam polskiego wojska.

– Dopiero w listopadzie udało mi się przekupić marynarzy i nielegalnie wypłynąć statkiem z Marsylii do Algieru w Północnej Afryce. Tym razem pomogła mi lewa, czeska karta demobilizacyjna, gdyż Francuzi traktowali lepiej Czechów niż Polaków. Masowo ciągnący na Wyspy Brytyjskie Polacy, choć w większości walczyli w kampanii polskiej i francuskiej, chcąc dalej uczestniczyć w walkach z Niemcami, stali się dla Francuzów dużym utrapieniem – opowiada.

Z obozu Legii Cudzoziemskiej, gdzie „kiblował w batalionie pracy”, dzięki interwencji rządu RP w Londynie, trafił w marcu 1941 r. na południe Maroka. Tam, już w legalnym obozie internowania koło Casbah Tadla, u stóp pasma Atlas Średni, był zakwaterowany w domkach wraz z ok. 30 polskimi oficerami i 50 żołnierzami szeregowymi.

– Było nawet nieźle. Otrzymywaliśmy oficerskie pensje, żywiliśmy się w hotelach, mogliśmy poruszać się w obrębie 10 kilometrów. Szukaliśmy jednak różnych dróg, aby móc wyjechać do Anglii i walczyć z Niemcami o Polskę.

Tu stosunki pomiędzy oficerami polskimi i francuskimi były zażyłe. Pamięta, że w maju 1941 r. zorganizowali nawet w lokalnym kinie akademię poświęconą Konstytucji 3 Maja. Wznoszono wspólne toasty za wolną Polskę i Francję.

– Po raz pierwszy w tej wojnie, właśnie z Maroka, nawiązałem kontakt listowny z rodziną w Ciechanowie. Odchodząca od zmysłów matka dowiedziała się wreszcie po dwóch latach, że żyję... Odpisała na mój list, przysłała fotografie, m.in. mojej ukochanej siostry Juleńki. Miała jasne warkocze. Nigdy już jej nie zobaczyłem... Zmarła w Ciechanowie zaraz po wyzwoleniu, latem 1945 r., na tyfus brzuszny – wzrusza się.

W tym czasie, w Casablance, największym mieście i porcie Maroka, zawiązała się tajna polska komórka ułatwiająca kontakt z brytyjską kolonią – Gibraltarem. Anglicy, chcąc ściągnąć jak najwięcej chętnych do walki z hitlerowcami, ułatwiali przez Gibraltar ewakuację na Wyspy Brytyjskie. Najbliższe wykradzenie Polaków kutrem rybackim zaplanowano na lipiec.

– Co pewien czas otrzymywaliśmy z obozu internowania przepustki do Casablanki. Któregoś dnia, będąc w tym porcie, też zameldowałem się „w melinie” po instrukcje, jak wyjechać na Wyspy. Pomimo iż wytłumaczono mi gdzie będzie punkt zborny, aby dostać się na statek, to po opuszczeniu rano obozu internowania miałem duże kłopoty z jego znalezieniem. Bez map, kompasu, wśród wydm i ruin pogubiłem się.

O mały włos nie wpadł wtedy w ręce francuskiej policji. Niemal cudem dotarł do wybrzeża Oceanu Atlantyckiego na punkt zborny, gdzie na szczęście spotkał innych Polaków, też mających podobne kłopoty. Dopiero po pierwszej w nocy ujrzeni światelko statku; niestety nie mógł on u brzegu zacumować.

– Zanim do niego dopłynęliśmy przy pomocy znalezionej szalupy, przeżyliśmy dantejskie sceny; szczególnie ci, którzy nie umieli pływać – śmieje się.

Po trzech dniach dopłynęli do Gibraltaru.

„Cup of tea” na Skale

– Na słynną Skalę przybyłem tylko w kąpielówkach, bo wszystko, łącznie z dokumentami i zdjęciami, m.in. mojej siostry Juleńki, zginęło wraz z tą szalupą...

Brytyjczycy zorganizowali im zakwaterowanie w obozie. To tam po raz pierwszy zetknął się z „cup of tea”. Dziś jest wielkim smakoszem tej herbaty.

Śmieje się:

– Po pierwszym posiłku podano nam w wielkim kubie dziwny napój. Mocny, niesłodki, z mlekiem. Od

razu mi posmakował. Musiałem go jednak osłodzić – opowiada swe wrażenia z pierwszej degustacji „cup of tea”.

W Gibraltarze czekał na dalszą podróż ponad dwa miesiące. Do Wielkiej Brytanii przybył w październiku 1941 r.

Ze Szkocji na Bliski Wschód

Po weryfikacji przez polskie władze wojskowe w Anglii został skierowany do Szkocji, gdzie stacjonował 1 Korpus naziemnych Polskich Sił Zbrojnych pod dowództwem generała Mariana Kukiela.

– Stosunki tam były jednak wyjątkowo paskudne; polskie swary, kłótnie, zawiść. Pomimo iż poznałem już wtedy na jednej z potańcówek Izabelę, swą późniejszą żonę, postanowiłem wyjechać na Bliski Wschód. Generał Władysław Anders tworzył tam, w ramach 8 Armii Brytyjskiej, 2 Korpus Pancerny.

W styczniu 1943 r., wraz z 4 tys. wojska, m.in. z kadrą polskiego pułku pomiarowego i jednostkami brytyjskimi, został wysłany na Bliski Wschód dużym luksusowym statkiem tzw. trampem (trzy restauracje, kilka barów, eleganckie kabiny dla oficerów). Podróż morzem do Durban w Afryce Południowej trwała sześć tygodni, potem jeszcze trzy tygodnie do Bombaju i dwa tygodnie do Basry w Iraku, gdzie formował się 2 Korpus.

– Na pokładzie nie czuło się wojny. Dopiero na Bliskim Wschodzie zobaczyłem trudne warunki.

Została tylko pusta emigracja

Wiosna 1996 r. w Birmingham jest wyjątkowo chłodna. Termometr za oknem w ogrodzie Bolesława wskazuje w ciągu dnia zaledwie siedem stopni Celsjusza. Ponadto wieje silny wiatr, wiecznie pędzący ciemne deszczowe chmury. Podziwiam Angielki, które przy takiej pogodzie nie noszą już pończoch...

Podczas naszych rozmów – przy włączonym kominu oraz koncercie kosa w ogrodzie – Kuźmińskiego odwiedza kolega, Józef Gibała. Silny, postawny, nieco przysadzisty góral z Podhala.

Gibała jako młody chłopak był w AK. Po przymusowych robotach w Niemczech, przez Europę Zachodnią, też trafił do Birmingham. Miasto to było drugim na Wyspach, po Londynie, ośrodkiem skupiającym Polaków. Gibała ma żonę Polkę, przed emeryturą prowadził własną firmę stolarską. Bezdzietny.

O Polsce i Polakach góral mógłby rozmawiać godzinami. Zwłaszcza przy doskonałej „cup of tea” przyrządzonej przez Bolesława (czajnik musi być obowiązkowo w wełnianym kapturku).

– Wie pani, że od kiedy prezydent RP na wychodźstwie Ryszard Kaczorowski przekazał w styczniu 1991 r. insygnia władzy Lechowi Wałęsie, czujemy się tu bardziej samotni. Przedtem nas, wojennych tułaczy, łączył tu jeden cel: walka z komunizmem w Polsce. Dziś pozostała tylko pusta emigracja.

Pan Gibała ma żal do rodaków znad Wisły, że po obaleniu totalitarnego systemu przemiany idą zbyt wolno, że jest wiele nadużyć, kradzieży państwowego majątku, oszustw. I że nie wytrzymali próby, tzn. trud-

nych pierwszych lat, oddając ponownie władzę komunistom.

– Polskie piekło – macha ręką zrezygnowany Gibała.
– Gra pozorów. Co innego się mówi, co innego robi. To tak jak policjant, który ma pilnować żeby nie kradli, a sam kradnie.

– A kiedy miały wykształcić się pozytywne wzorce?
– zaperza się Kuźmiński, który zawsze w dyskusjach jest wielkim orędownikiem Polski, wierzącym w naród znad Wisły. – Skąd wziąć elity po rozbiorach, wojnach i po pół wieku wpływów Sowietów? Polska dopiero teraz zaczyna normalne życie.

– Wałęsa niewiele zrobił – upiera się Gibała. – Choć może nie mógł? Może mu nie dali? Trudno właściwie ocenić...

Obydwaj jednak przyznają, że Anglicy demokracji uczyli się kilka wieków. Stąd umiejętność wyboru, siła wolnej prasy, licznych organizacji i stowarzyszeń oraz kontrola obywateli, bacznie patrzących na ręce politykom, którzy decydują o ich losach.

Słucham opinii „zangliczających Polaków” – jak sami mówią o sobie – o polskiej emigracji.

Gibała: – Opuszczanie Ojczyzny, zwłaszcza przez młodych i wykształconych obywateli, to jej okradanie. My przybyliśmy tutaj nie po to, żeby zostać; my musieliśmy, inaczej trafilibyśmy do więzień, podobnie jak nasi koledzy, którzy się na to zdecydowali. Ale normalnie przez całe życie powinno się pracować dla swego kraju. Anglik nigdy by nikogo nie dorabiał...

Kuźmiński: – Dziwię się, że młodzi, którzy teraz emigrują z Polski mówią: „Co mi tam Ojczyzna! Ona jest tam, gdzie chleb”. Zgadzasz się Józek?

Gibała: – Kiedy jeżdżę do swojej wsi, a byłem już kilka razy, ludzie tylko o Ameryce gadają! Domy ich stoją puste, maszyny rdzewieją, ziemia nie uprawiona. Choć, jak ostatnio ich odwiedziłem, pęd do wyjazdów jakby mniejszy...

Uważają się za Polaków patriotów. Zawsze promują Ojczyznę, noszą polskie ubrania, buty („nie czuję ich na nogach” – zachwala Gibała), używają nawet polskiej pościeli; w Birmingham śpię pod puchową kołdrą wykonaną w Ciechanowie. Często zaopatrują się w polską żywność, udzielają się w akcjach charytatywnych i społecznych, działają w licznych tu polskich stowarzyszeniach, kołach i innych organizacjach. Czytają polską prasę, oglądają telewizję (najczęściej dostępna jest tu Polonia i Polsat), są doskonale zorientowani, co dzieje się w ich Kraju. Regularnie chodzą do polskiego kościoła.

– Ale ci, którzy się już tu urodzili, mają z Krajem niewiele wspólnego. Wrastają w tę ziemię, wchodzą w związki małżeńskie z Anglikami, często nie znają nawet języka swych ojców – biadolą weterani.

Oni, starzy, wciąż chcieliby widzieć Polskę wielką, piękną, silną gospodarczo i militarnie. A nie brudną, skłóconą, zdezorganizowaną, nie potrafiącą sobie poradzić z wywalczoną wolnością. Gdyby Polska była mocna, Anglicy by ich, tu na Wyspach, też bardziej poważali.

– A jaki jest stosunek Anglików do Polaków? – pytam.

Kuźmiński: – A czy Anglicy kogokolwiek lubią? Mają inną mentalność, inny temperament. Żyją dla swego imperium. Po wojnie byliśmy już im niepotrzebni;

czynili więc wszystko, aby nas wysiadać do Polski. Żyjemy z nimi, ale obok nich. Trzymamy się w swoich podgrupach, klikach; chwalimy się między sobą i zwalczamy między sobą. Podobnie jak w Kraju, tylko w skali mikro.

Gibała: – Zaczęli nas dopiero doceniać, kiedy masowo napłynęli tu Hindusi, Murzyni, Azjaci i inni kolorowi z byłych kolonii. Anglicy szanują tylko pracowitych, przedsiębiorczych, wykształconych. No i bardziej białych.

Przypominają, że Polacy po wojnie ciężko tu harowali. Większość dała sobie radę; bo z biedy przyszła, chciała do czegoś dojść...

Czujemy, że grzanki, które przygotowuje Bolesław, się przypaliły.

– O, cholera, zagadałem się – biegnie do kuchni gospodarz.

Przypominam sobie wizytę Jana Pawła II w Londynie, w maju 1982 r. Na wielkim spotkaniu, na stadionie White City. Papież uwypuklił odmienną Polonii Brytyjskiej od zwykłej emigracji.

„To prawda, że przed II wojną światową była w Anglii pewna liczba Polaków emigrantów” – powiedział wtedy Papież Polak. „Jednakże ci, którzy tutaj znaleźli się w ramach wydarzeń wojennych, nie byli emigrantami. Byli Polską wyrwaną z własnych granic, z własnych pobożowisk, Polską przed niespełna dwudziestu laty zbudzoną do niepodległego bytu”.

– Za około dziesięć lat skończy się stara emigracja - wzdycha Gibała. – My dożyć już musimy tutaj. Mamy tu emerytury, domy, bezpłatną opiekę medyczną i lekarstwa. Starych drzew się nie przesadza...

– A ja zamierzam wrócić do Kraju – zaskakuje mnie Kuźmiński. – Wierzę, że w Polsce będzie lepiej; a narzekają ci, którzy do Ojczyzny nie mogą powrócić. W Ciechanowie mam przyjaciół, szkolnych kolegów, grób rodziców i Juleńki. Chcę złożyć swe kości obok nich.

– Wiesz, najlepiej byłoby żyć pół roku w Anglii i drugie pół w Polsce – ustępuje koledze, rozdarty pomiędzy dwie Ojczyzny, pocziwy góral Józef Gibała.

Entuzjizm w 2 Korpusie

Na Bliski Wschód Bolesław Kuźmiński przybył w kwietniu 1943 r. 2 Korpus Pancerny tworzył się na północy Iraku, w okolicach miasta Kirkuk. Trwało tam intensywne szkolenie; również dziewcząt z Pomocniczej Służby Wojskowej, w kompaniach: transportowej, sanitarnej, łącznościowej i innych. Zaskoczyło go, że na Bliskim Wschodzie funkcjonowały też szkoły podstawowe i średnie dla dzieci i młodzieży z 2 Korpusu. Nieletnich oddawały żołnierzom ciągnącym do Andersa matki, chcąc ratować je z sowieckich więzień i łagrów.

– Tam dopiero, pomimo trudnych warunków, poczułem się naprawdę zadowolony i potrzebny – kontynuuje opowieść Bolesław. – W 2 Korpusie nikt nie znał nudy ani stagnacji jak w Szkocji. Stosunki były przyjemne; pełne entuzjazmu i zapału do nauki, szkolenia oraz walki z Niemcami. Alianci wspomagali nas w sprzęt, broń, mundury, samochody; szkoleniem zajmowali się głównie polscy oficerowie.

Bolesław, w stopniu podporucznika, został oficerem technicznym w 1 Pułku Artylerii Pomiarowej pod dowó-

dztwem płk. Marchanda, ostatnim sformowanym pułku 2 Korpusu. Głównym zadaniem tej formacji było wykrywanie nieprzyjacielskich stanowisk ogniowych. Kuźmiński pamięta, że służbę zaczął od szkolenia kierowców. Spośród 120 chętnych egzamin ten po sześciu tygodniach nauki zdało 90 młodych Polaków.

– Wtedy dostaliśmy pojazdy, za które odpowiadałem, i we wrześniu 1943 r. mój pułk został przetransportowany na dalsze szkolenie. Najpierw do Tel-Awiwu (od września do grudnia), a potem do Egiptu. Święta Bożego Narodzenia 1943 r. spędziłem w Egipcie, 200 km od Kairu, zaś następne w 1944 r. – we Włoszech.

Szczególnie przyjemnie wspomina jednak pobyt w Palestynie. W soboty i niedziele organizowali sobie wycieczki po okolicy, poznawali historyczną Ziemię Świętą, jeździli nawet na polowania do Kurdystanu.

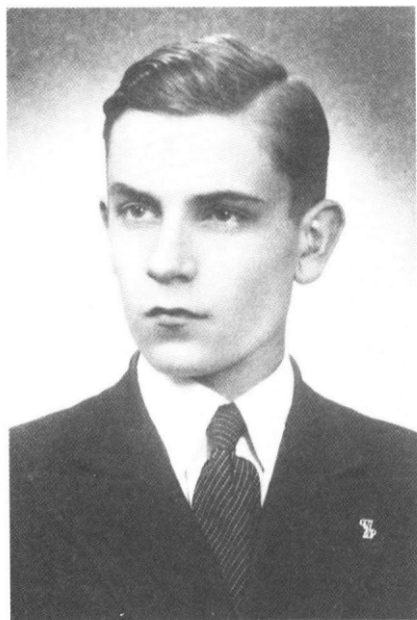
– W Palestynie poczułem się po raz pierwszy podczas tej wojny jak u siebie w domu. W Tel-Awiwie zastaliśmy polskie sklepy, Żydzi traktowali nas jak członków rodziny, wspominając Polskę z ogromnym sentymentem.

– Czy to prawda, że wielu polskich Żydów z 2 Korpusu zdezerterowało i zostało w Palestynie?

– Prawda. Jeśli któryś wyjeżdżał na przepustkę, to wiadomo było, że już nie wróci. Niektórzy się nawet z tego cieszyli; uważali, że armia się odżydzi. Brakowało ich jednak potem w Korpusie, gdyż tworzyli w nim czołówkę artystyczną, serwującą nam rozrywkę.

Z rozrzewnieniem wspomina, jak któregoś dnia spotkał sympatyczne żydowskie małżeństwo z Pułtusza.

– A czemu Pan do nas się nie odzywa? – zagadnęli go, z charakterystycznym akcentem, siedząc na ławce. – My przecież Polacy...



*Bolesław Kuźmiński jako
maturzysta. Ciechanów,
1938 r.*



*Anna z Sarnickich Kuźmińska, po-
tem Lesiowska, matka Bolesława.
Ciechanów, 1924 r.*



*Ojciec Bolesława, też Bolesław
Kuźmiński, oficer marynarki car-
skiej, 1919 r.*



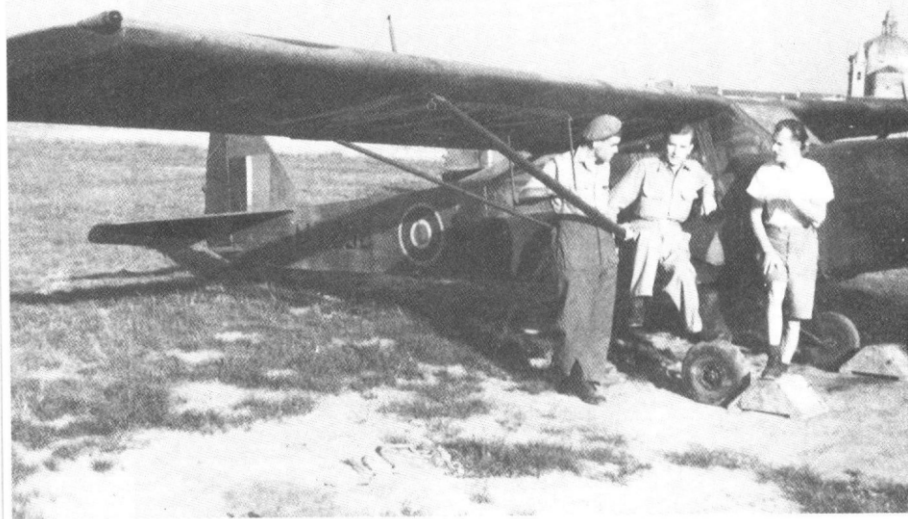
*Bolesław Kuźmiński w Szkole
Podchorążych Rezerwy Artyle-
rii we Włodzimierzu Wołyńskim,
1938 r.*



W 2 Korpusie Pancernym na Bliskim Wschodzie. Irak, 1943 r.



Jako lotnik 663 Dywizjonu Samolotów Artylerii. Włochy, 1945 r.

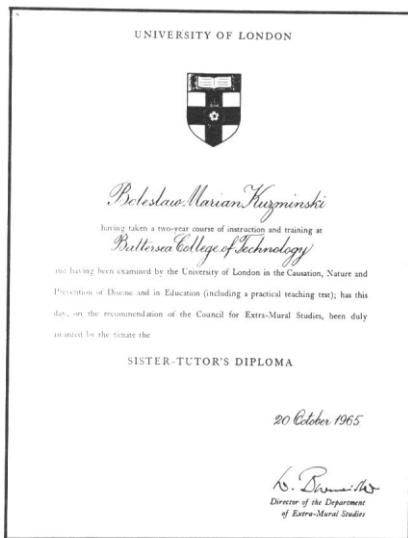


Bolesław Kuźmiński z mechanikami przy swym samolocie we Włoszech. Werona, 1945 r.

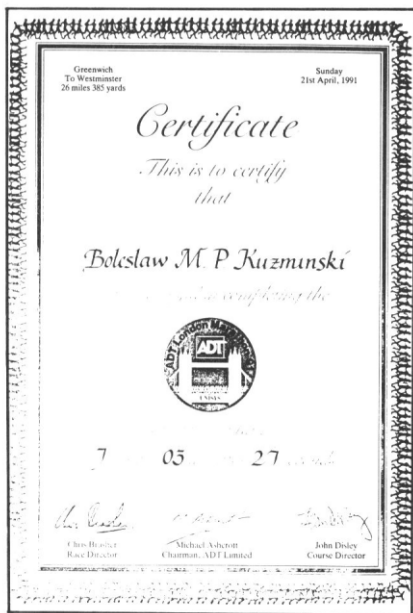


Certyfikat pielęgniarza przemysłowego, uzyskany przez Bolesława Kuźmińskiego po roku studiów w Uniwersytecie w Birmingham, 1955 r.

Dyplom nauczyciela pielęgniarstwa, zdobyty po dwóch latach dziennych studiów w Uniwersytecie Londyńskim, 20 października 1965 r.



Dyplom Maratonu Londyńskiego (26 mil i 385 jardów), który Bolesław zdobył pokonując dystans w ciągu 7 godzin, 3 minut i 27 sekund, startując 21 kwietnia 1991 r.



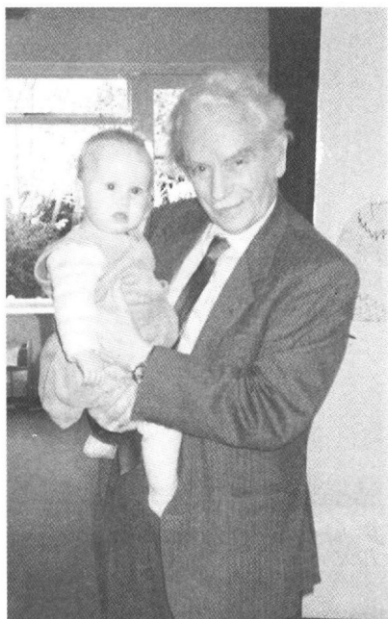


Bolesław Kuźmiński w swym domu w Birmingham, 3 maja 1996 r.



...i – 26 kwietnia 1996 r.

*Ze swą najmłodszą wnuczką,
28 kwietnia 1996 r.*



*Z kolegami z Ciechanowa w domu Tamary i Wiesława Lasockich
(w środku), z lewej Józef Mossakowski. Londyn, kwiecień 1996 r.*



W domu kolegi z gimnazjum Józefa Mossakowskiego. Londyn, 30 kwietnia 1996 r.



Zaręczynowe przyjęcie Bolesława z Ireną Jamroz. Birmingham, październik 1996 r.

Twierdzi, że Żydzi czuli się tam źle, jak emigranci w obcym kraju. Ich prawdziwą ojczyzną była Polska.

Pod koniec 1943 r. niektóre jednostki zorganizowane 2 Korpusu zaczęły wyjeżdżać na front włoski. Pułk Kuźmińskiego trafił tam w marcu 1944 r., w maju walczył pod Monte Cassino.

O tej sławnej bitwie Bolesław nie chce się rozwodzić.

– Była trudna, przesiała naszych. Po jej zakończeniu 2 Korpus nie poszedł na Rzym, tylko otrzymał dwa tygodnie zasłużonego odpoczynku. Potem został przeznaczony na włoski front wschodni, nad Adriatyk.

Ciesząc się opowiada, że 2 Korpus został właściwie uratowany przez Ślązaków. Masowo dezertowali oni wtedy z armii niemieckiej, zasilając szeregi sił sprzymierzonych.

– Dzięki Ślązakom 2 Korpus został we Włoszech uzupełniony i ocalał. Po stratach pod Monte Cassino Anglicy nosili się bowiem z zamiarem rozbicia go na kilka dywizji i rozdzielenia żołnierzy do korpusów brytyjskich.

Potem 2 Korpus brał udział w ciężkich bojach na froncie adriatyckim, rozlokował się nad rzeką Segno.

W wymarzonym lotnictwie

Kuźmiński zaś ciągle marzył o lotnictwie. Sława polskich lotników spod znaku biało-czerwonej szachownicy, którzy na przełomie lata i jesieni 1940 r. pokazali swoją klasę w walkach ocalających Wielką Brytanię, wciąż była żywa. Wiedział, że rodzi się koncepcja zor-

ganizowania polskiego dywizjonu, który ma współpracować z siłami lądowymi 2 Korpusu. Był to 663 Dywizjon Samolotów Artylerii, ostatni polski dywizjon, jaki został utworzony podczas II wojny.

Do dziś wierzy w siłę i skuteczność marzeń. Inaczej trudno mu wytłumaczyć, że wśród 21 oficerów artylerii z 2 Korpusu, wytypowanych do nowego dywizjonu, on też się znalazł. I to nieco później, kiedy stan zdrowia jednego z już wytypowanych, okazał się zbyt słaby jak na pilota.

– Znowu mi Pan Bóg dopomógł. Okres w lotnictwie to najciekawsza i najlepsza moja karta w tej wojnie. Gdyby nie utworzony Dywizjon 663, zgnuśniałbym w tej pomiarówce...

To właśnie Kuźmiński wymyślił projekt odznaki 663 Dywizjonu Samolotów Artylerii. Od tamtej jesieni 1944 r. nosi ją zawsze w klapie marynarki, niezmiennie każdego dnia, nawet jeśli zmienia ubranie. Odznaka ta, to orzeł w locie z pociskiem armatnim w szponach na tle biało-czerwonej szachownicy; u dołu numer 663 DSA.

Skoro służba w Dywizjonie 663 odegrała w wojennym życiu Bolesława największą rolę, wypada poświęcić tej formacji więcej miejsca.

Jak podaje Wacław Król w „Zarysie działań polskiego lotnictwa w Wielkiej Brytanii 1940-1945” (Biblioteczka Skrzydlatej Polski, 1990 r.), 663 Dywizjon Samolotów Artylerii (663 DSA) został stworzony do współpracy z armią naziemną. Należał do 8 Armii Brytyjskiej, od 13 lutego 1945 r. całkowicie podporządkowany dowódcy artylerii 2 Korpusu rozlokowanego nad rzeką Segno. Miał wspólnie z artylerią przełamać siły niemieckie na froncie włoskim, zwłaszcza ukryte za zboczami i

w kotlinach, trudne do przełamania frontalnie. 663 DSA został wyposażony w lekkie i powolne samoloty Taylorcraft „Auster”, których zadaniem było wykrywanie niemieckich celów z wysokości lotu i kierowanie na nie drogą radiową ognia własnej artylerii.

Pilotami 663 DSA byli wszechstronnie wyszkoleni oficerowie artylerii. Pilot zawsze latał sam; był jednocześnie obserwatorem, decydował o wyborze celu i sile ognia. Polacy wywiązywali się doskonale z powierzonych im zadań, szybko oceniali sytuacje w wykrywaniu nowych celów i przekazywali informacje drogą radiową swej armii naziemnej. Niemiecka artyleria na widok „Austera”, popularnie nazywanego w 2 Korpusie „Kubusiem”, przerywała prowadzenie ognia, aby nie ściągnąć na siebie pewnego i celnego ataku.

– Stanowiliśmy oczy 2 Korpusu – opowiada Kuźmiński. – Zanim jednak 8 stycznia 1945 r. osiągnęliśmy gotowość bojową i wykonaliśmy pierwsze loty, musieliśmy przejść bardzo intensywne szkolenie. Nie tylko z pilotażu, ale też z zakresu powietrznej obserwacji punktów, prowadzenia korespondencji radiowej oraz korygowania ognia artylerii.

Bolesław Kuźmiński, podobnie jak większość pilotów tego dywizjonu, uczył się latania w Republice Południowej Afryki. Trwające tam od lipca 1944 r. szkolenie odbywało się na lotnisku Bloemfontain, niedaleko Pretorii, gdzie mieściła się lotnicza szkoła nr 62 Air School of South African Air Force. Na drugi etap szkolenia zebrano już cały personel, na lotnisku Eboli, niedaleko Salerno. Było to 8 września 1944 r. i dzień ten uznano za datę powstania 663 Dywizjonu. Dowódcą z ramienia RAF na okres szkolenia był s/ldr W.E. Wright, który brał udział

w lotach w dywizjonie brytyjskim podczas walk o Monte Cassino i Rzym. Dowódcą polskim – mjr Edmund Pawlikowski. Cały dywizjon liczył trzy eskadry, każda z czterema sekcjami.

– Mówię ci, jak się latało! – były pilot RAF-u rozmarza się. – Włochy są piękne! Żeby tylko te pociski niemieckie ciągle na nas nie leciały.

Opowiada, że powinni latać na wysokości 4 tys. stóp, czyli ponad najwyższą linią lotu pocisku. Natomiast latali niebezpiecznie niżej, na wysokości 2,5-3 tys. stóp, aby jak najlepiej wywiązać się z powierzonych im zadań.

– Była to rosyjska ruletka – przyznaje dziś Kuźmiński. – W ciągu trzech miesięcy, bo tyle w czasie działań wojennych funkcjonował jego dywizjon, życie stracił jeden pilot, uszkodzono kilkadziesiąt samolotów.

On też ocalał cudem kilka razy. Raz kula niemal go dotknęła, uszkadzając jednak tylko przewody od wysokościomierza i wysokościomierza, czyli instrumentów nieodzownych podczas lądowania. Udało mu się jednak szczęśliwie dotrzeć na lotnisko.

Drugi raz został zestrzelony, czyli „wbrew swej woli spotkał się z ziemią”. Ale stracił tylko trzy przednie zęby, nie doznając żadnych złamań i okaleczeń. Długo jednak nie mógł śmiać się „pełną gębą, ani pocałować się z dziewczyną”...

9 kwietnia 1945 r. był dniem ostatniej ofensywy na froncie włoskim. 2 Korpus nacierał w kierunku Bolonii, bardzo skutecznie współpracując z Dywizjonem 663. Popularne „Kubusie” były wtedy nieocenione. Teren był bowiem poprzecinany rzekami i drogami ze szpalerami drzew, ograniczającymi widoczność nieraz do kilkudziesię-

sięciu metrów. To „Kubusie” ją wydłużały artylerzystom i nacierającym na Niemców oddziałom lądowym.

25 kwietnia 1945 r. Dywizjon 663 wykonał ostatnie loty. Cztery dni później działania wojenne we Włoszech zostały zakończone, ale „Austery” były jeszcze przez ok. dwa lata, stacjonując we Włoszech, wykorzystywane do przewozu dowódców, ważnych osób i ładunków.

W okresie tym Bolesław po raz kolejny cudem uniknął śmierci. Lecąc z pasażerem z Werony do Bolonii wpadł któregoś dnia w burzę magnetyczną. Kompas przestał działać, zaś widoczność była wyjątkowo kiepska z powodu gęstych chmur zalegających nad ziemią. Zrozpaczony krążył w kółko, nie wiedząc gdzie wylądować.

– Wtedy żarliwie i gorąco zacząłem modlić się do Matki Bożej – pamięta. – Nagle „otworzyło się okienko w chmurach” i ujrzałem ostry, charakterystyczny zakręt szosy, który znałem. Już wiedziałem gdzie jestem! Wzdłuż szosy, co w żargonie pilotów określa się „wziąć szosę pod pachę”, doleciałem na lotnisko. Czyż to nie był cud?

Po zawieszeniu broni chętni żołnierze mogli podjąć studia na włoskich uczelniach. Kuźmiński spróbował swych sił na Uniwersytecie w Bolonii, na weterynarii. Jednak bariery językowe, a także trudność przestawienia się z działań wojennych na naukę, rodziły duże problemy.

Rozwiązanie Dywizjonu 663 nastąpiło definitywnie 19 października 1946 r. na włoskim lotnisku w Treviso. Demobilizacja całego 2 Korpusu odbywała się jednak w Wielkiej Brytanii; trzeba więc było jechać na Wyspy.

– Postanowiłem kontynuować studia w Brytanii,

gdzie – jak nas zapewniano – członkowie Sił Zbrojnych dostaną indeksy bez egzaminów. Mieli być przyjęci w pierwszej kolejności...

Bez angielskiego smogu

Bolesław Kuźmiński męczy się wspomnieniami, choć osiągnął już klasyczne angielskie opanowanie i wiele stoicyzmu, jest też w niezłej kondycji fizycznej. Dalsze opowiadanie swych dziejów odkłada z dnia na dzień; usilnie namawiając, abym została w Anglii dłużej.

Dla relaksu pokazuje mi miasto. Czyste, bardzo kolorowe, kompletnie bez dymów i smogu. W fabrykach lśnią jakby wczoraj myte i odświeżone ściany z czerwonej cegły, z pomalowanymi w kontrastowych kolorach oknami: na zielono, żółto, niebiesko; często z żaluzjami. Czyste też, aż do nieprzyzwoitości, są fabryczne place i tereny wokół nich; również ciężarówki i okoliczne ulice. Jedynie tam, gdzie mieszkają kolorowi, jest większy bałagan, więcej śmieci, inny zapach.

– W Birmingham nie wolno używać węgla ani drewna; nawet w kominkach możemy spalać tylko specjalny węgiel drzewny, który nie kopci – wyjaśnia przyczynę czystego środowiska mój przewodnik. – Źródłami energii są tu gaz i prąd.

Miasto może się też pochwalić dużym muzeum, ciekawą galerią, ogrodem botanicznym, niezliczonymi pubami. Przechadzamy się nad historycznymi kanałami, też z czystą wodą; próbujemy w pubach różnych piw; najbardziej smakują mi irlandzkie, prosto z beczki.

Jestem porażona wysoką kulturą i uprzejmością Anglików. Szczególnie urzędników do klientów; niezależnie czy to jest poczta, sklep czy kasa biletowa. Ale również na ulicach nikt na nikogo „nie wpada”, większość sobie ustępuje i wszędzie słychać „sorry”.

Birmingham zwraca też uwagę dużą liczbą kolorowych mieszkańców; niestety już nie dżentelmenów; zwłaszcza Hindusów, którzy szczególnie masowo zajmują się tu handlem i usługami. Zadziwia także mnogością kobierców wiosennych kwiatów: olbrzymich hiacyntów, bratków, tulipanów i prymul. Nigdy jeszcze nie widziałam takiej ilości i barw wonnych hiacyntów. Ich zapach z Birmingham zapamiętam na zawsze...

Gospodarz jest uradowany. Oprowadzając mnie opowiada dowcipy, sypie powiedzonkami w różnych językach: po polsku, angielsku, francusku, włosku, nawet po łacinie. Pamięta zabawne historyjki jeszcze z „Płomyczka”, opowiadki swych nauczycieli z Ciechanowa, polskie przysłowia. O Polsce mówi dużo wciąż podkreślając, że Kraj stanie na nogi; jest to tylko kwestia czasu.

– To tu będzie recesja, a Polska pójdzie naprzód – przewiduje. Ale gładząc się po siwych włosach zastanawia się: – Nie wiem tylko, dlaczego znajomi się śmieją, kiedy im to mówię? Może to ja jestem wariat?

W polskiej parafii

W niedzielę jedziemy na mszę św. do polskiego katolickiego kościoła św. Michała. Odbywają się w nim w każde święto kościelne dwie msze: o godz. 10.45 i 12.00. Wierni tej parafii to Polacy, głównie starsi, choć

– Ja też działałam w tutejszym Stowarzyszeniu Lotników Polskich, jestem wiceprezesem Stowarzyszenia Anglo-Polskiego oraz członkiem Stowarzyszenia 1 Dywizji Grenadierów Kampanii Francuskiej 1940 r. (we Francji) – mówi Kuźmiński, dziś w stopniu kapitana, odznaczony kilkoma krzyżami, m.in. Krzyżem Walecznych z Trzema Okuciami, Krzyżem Monte Cassino, Krzyżem Czynu Bojowego Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie i wieloma innymi medalami: polskimi, brytyjskimi, francuskimi, włoskimi; m.in. odznaką „Za zasługi dla woj. ciechanowskiego”.

W restauracyjnym menu tradycyjne polskie potrawy: schabowy, mielony, żeberka, gołąbki, bigos. W sklepie polskie wódki, piwa, wędliny, konfitury i inne specjały. W Polskim Centrum Katolickim bywa też wielu Anglików. Traktują Centrum jak normalny pub.

U zamożnych Polaków

Któregoś dnia odwiedzamy przyjaciół mego gospodarza.

Irena Jamroz, z domu Horodecka. Dobrze zbudowana, elegancka, 68 lat. Lwowianka. Po wojnie trafiła do Wrocławia, została pielęgniarką i wyszła za mąż. Nie udało się jej jednak znaleźć szczęścia w „tym obcym mieście”. W 1957 r., już samotna, wyjechała do Birmingham, gdzie w dużym domu towarowym również pracowała jako pielęgniarka. W Anglii wydała się za mąż ponownie, za pracowitego polskiego mechanika; zmarł przed dwoma laty.

– Tutaj byłam szczęśliwa – opowiada zadowolona w

swej dużej, przytulnie urządzonej szeregowej willi. – Pracowaliśmy ciężko, ale dorobiliśmy się z mężem tego domu, zmienialiśmy często samochody, zwiedziliśmy pół świata. Niemal co roku bywaliśmy w Kraju.

Dziś w swym ciepłym, urządzonym na różowo piętrowym gniazdku, z kominkiem i telewizorem z polskim programem Polonia, mieszka z Basią. Basia – samotna, po czterdziestce, jest upośledzona umysłowo i pochodzi z Chełma. Irena dostaje pieniądze za zajmowanie się nią.

– Pobyt w zbiorowych domach kosztowałby państwo więcej – tłumaczy.

Częstuje grzankami z szynką, bezowym ciastem i kawą.

O zamiarach powrotu jej kolegi Bolesława do Ojczyzny Irena mówi z niechęcią.

– Niech tam sobie jedzie do tej swojej Polski. Tylko zobaczymy co zrobi ze swoim domem, czy potrafi zostawić synów, wnuków, znajomych. Ja na pewno stąd się nie ruszę; mam tu wszystko: przyjaciół, bezpłatną opiekę medyczną, leki.

Te nie kończące się dyskusje o emigracji, ciągle wątpliwości i pytania bez odpowiedzi. Powracamy do nich u Marii i Zbigniewa Lupów, gdzie Irena wiezie nas swym hundayem.

Lupowie są uważani za jednych z najzamożniejszych wśród całej Polonii w Birmingham. Mają wspaniały, duży, stylowy dom z ogromnym ogrodem na peryferiach miasta, gdzie mieszkają najbogatsi Anglicy. Ich trojgu dzieciom też się dobrze powodzi, jeden z synów zrobił nawet doktorat.

– Tutaj zdecydowana większość, bo ok. 90 proc.

dzieci Polaków ukończyło wyższe uczelnie i zajmuje dziś wysokie stanowiska – tłumaczy Irena.

Lupowie są dziećmi żołnierzy 2 Korpusu.

On pochodzi z Bielska Białej i jako chłopiec poszedł z ojcem do Andersa. Jeszcze w Afryce ukończył dwie klasy w utworzonym tam, dokładnie w Tanzanii, polskim gimnazjum; potem naukę kontynuował w Anglii, gdzie przybył razem z ojcem. Obecnie jest emerytowanym inżynierem, absolwentem Uniwersytetu w Birmingham.

Ona, rodem ze Stanisławowa, przyjechała do Anglii już jako absolwentka Wydziału Handlu Zagranicznego Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie. Po rozpoczęciu w stolicy pracy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych chciała odwiedzić ojca, który po demobilizacji został na Wyspach. Jako dziecko przeszła z rodzicami rok gehenny na Syberii.

– Ojciec przyjaźnił się tu, w Birmingham, z moim obecnym teściem. W ten sposób poznałam Zbigniewa, swego męża. Już do Polski nie wróciłam... – wspomina Maria Lupowa. Inteligentna, zadbana, choć przed chwilą jeszcze pracowała w ogrodzie. Nigdy nie wykorzystwała wiedzy zdobytej w SGH; w Anglii prowadzi dwa ekskluzywne prywatne domy dla starców.

W ogrodzie Lupów ogrom kwiatów, krzewów, drzew i zapachów. Także ptaków – co widzimy, czujemy i słyszymy siedząc w równie ukwieconej, oszklonej altanie, popijając whisky.

– Uprawa roślin ozdobnych to hobby męża, ja mu tylko pomagam – wyjaśnia szybko Maria Lupowa.

Czy nie żałują, że nie mieszkają dziś w Polsce? Czy nie myślą o powrocie?

– Już nie – odpowiada Zbigniew Lupa. – Za dużo wylaliśmy tu potu i włożyliśmy trudu, żeby to teraz zostawić. Sami zbudowaliśmy ten dom, przez lata żyliśmy skromnie i oszczędnie, zresztą podobnie jak Anglicy. Dopiero dziś mamy tu zapewniony wygodny byt na stare lata.

W Polsce jednak bywają, utrzymują kontakt z rodziną, znajomymi. Nawet latem tego roku wybierają się na trzytygodniowe wakacje do Ojczyzny, dlatego wypytują o dobre hotele.

Nad Wisłą razi ich już jednak wiele spraw: biurokracja, niechlujstwo, lenistwo.

– Nawet nasi znajomi chcieliby nie pracować, tylko opływać w dobrobycie – krytykują.

O powrocie postkomunistów do władzy:

– Tak chciał naród; trzeba to uszanować. To znaczy, że w Polsce jest demokracja.

Wracamy. Irena mówi, że trafiłam na ładną pogodę, bo nie pada... A mnie na widok, nawet z okien samochodu, wiecznie ołowianego nieba, braku słońca i wciąż pędzonych przez wiatr chmur robi się jeszcze bardziej lodowato...

W domu Bolesław przygotowuje „cup of tea”. Włączamy kominek. Poruszony dzisiejszą dyskusją, ze łzami w oczach recytuje „Piłsudskiego” Lechonia, którego kiedyś deklamował w ciechanowskim gimnazjum. Podziwiam to patetyczne, bezinteresowne trwanie przy wierności idei i conradowskiej wierności samemu sobie... Robię mu zdjęcie.

Zapuszczanie korzeni

Gospodarz jest pogodny i pocziwy. Dbą i troszczy się o mnie, codziennie rano przynosi mi nawet do łóżka kawę oraz kilka herbatników.

– Zawsze marzyłem o córce – mawia niemal codziennie. – Ja, wielki samotnik, zupełnie inaczej funkcjonuję, kiedy gościsz u mnie. Jestem bliżej Polski, wydaje mi się, że już się tyle wydarzyło...

Ubiera się po angielsku: wełniana marynarka w kratę, dobrana kolorystycznie koszula, pulower i welwetowe brązowe spodnie. Do tego brązowe skórzane buty. Do kościoła, na wizyty do znajomych zakłada któryś ze swych licznych garniturów. Zawsze z odznaką 663 Dywizjonu Samolotów Artylerii w klapie („wciąż z gapą” – mawia).

Wracamy do wspomnień.

Po wojnie życie na Wyspach zaczęło powoli wracać do normy, jednak nie dla Polaków. Dla nich nie było prostego powrotu do Kraju, ani też pozostania w Brytanii. Zwłaszcza że Anglicy cofnęli uznanie zaproszonemu, w czerwcu 1940 r., rządowi „pierwszego alianta”, a na słupach nierzadko widziało się napisy „Polish go home” („Polacy do domu”). Spośród ok. 250-tysięcznej rzeszy polskich żołnierzy tułaczy i ich rodzin, którzy „przeszli najdłuższe szlaki”, najwięcej jednak zapuściło korzenie na Wyspach. Część rozproszyła się po innych kontynentach, ok. 100 tys. wróciło do Kraju. Najmniej znalazło się w Ojczyźnie tych, którzy z 2 Korpusem przeszli Rosję.

– Wrócić do Ciechanowa chciałem, ale nie mogłem. Zakazała mi tego nawet mama pisząc, że każdy, kto walczył w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie jest

traktowany jak wróg narodu. Miałem też na to dowody. Np. w 1949 r. powrócił do Kraju mój kolega, podporucznik; dwa lata spędził na przesłuchaniach, nie mógł dostać pracy, załamał się psychicznie.

Niestety, w Anglii też sytuacja była niełatwa: kraj wyniszczony wojną, z tworzonymi dopiero stanowiskami pracy, wszystko na kartki. Również z indeksami dla oficerów z wojny też nie było tak różowo, jak wcześniej zapowiadano.

– Kiedy w ramach demobilizacji, w stopniu kapitana, przybyłem do Anglii, uczelnie medyczne już miały komplet zapisanych chętnych na najbliższe trzy lata. A gdy po trzech latach się zgłosiłem, usłyszałem, że trzeba już zdawać normalne egzaminy – opowiada z żalem.

Najpierw jednak po przyjeździe do Wielkiej Brytanii 26-letni Bolesław wstąpił do Polskiego Korpusu Przy sposobienia i Rozmieszczenia (PRC).

– Poprzez PRC, który był utworzony i finansowany przez angielski rząd, można było znaleźć pracę, ukończyć różnorodne kursy i szkolenia, przekwalifikować się i po dwóch latach przejść do cywila – opowiada. – Ja skorzystałem z możliwości rocznego wyjazdu do Szkocji i zdobycia wykształcenia leśnika.

Praktykę przeszedł potem w jednej z fabryk przemysłu drzewnego, pracował też w lesie jako drwal, a nawet w zakładzie pogrzebowym. Kiedy już całkowicie stracił nadzieję, że dostanie się na medycynę, zdecydował się na trzyletnie studia pielęgniarские.

– Widocznie takie było moje przeznaczenie. Podobnie jak matki... – mówi dziś, jednak nie bez pewnego zawodu.

W lutym 1947 r. zaręczył się z Izabelą MacFarlane z

domu Hunter, którą odwiedził zaraz po przybyciu na Wyspy.

– Była ładną, niewysoką brunetką, o zielonych oczach – opowiada. – Jak poznałem ją przed wyjazdem na Bliski Wschód, miała zaledwie 17 lat, nie myślałem więc o małżeństwie. Po powrocie okazało się, że jednak mamy się ku sobie; jakby te trzy lata rozłąki nie istniały.

Ślub odbył się w styczniu 1948 r., kiedy był jeszcze w Korpusie Przysposobienia. Izabela nie pochodziła z bogatej rodziny, ale w czasie wojny zdobyła już zawód pielęgniarki.

– Otrzymywaliśmy wtedy z Korpusu dwa uposażenia: oficerskie oraz na żonę Izabelę. Ale od 1949 r. to ja byłem przez trzy lata jej utrzymankiem, gdyż studiowałem pielęgniarstwo, a żona już pracowała jako pielęgniarka w szpitalu w Perth, w Szkocji.

Później zdecydował się specjalizować w pielęgniarstwie przemysłowym. W ten sposób w 1955 r. trafił do Birmingham, gdzie mógł pracować w miejscowym szpitalu i jednocześnie ukończyć roczny kurs pod kierunkiem Wydziału Medycyny Społecznej Uniwersytetu w Birmingham. Kiedy zaproponowano mu, żeby został jednym z wykładowców tego kursu, był mile zdziwiony i przyjął propozycję. W ten sposób rozpoczął żywot „belfra”, ucząc i jednocześnie pracując w szpitalu jako pielęgniarz. Prowadził wykłady z toksykologii, osiedlając się już na dobre w stolicy gospodarczej Anglii.

– Był to jednak najczarniejszy okres mego życia – wspomina. – Czułem się straszliwie samotny, bo w Szkocji zostawiłem Izabelę wychowującą pierwszego naszego syna Julka, urodzonego w 1952 r. Ponadto byłem nędza-

rzem; żona wtedy nie pracowała, wysyłałem więc im każdego funta. Żeby przeżyć, dorabiałem nocą jako kelner w pubie, zaś do pracy pięć kilometrów chodziłem rano piechotą.

W końcu znalazł pomieszczenie, aby sprowadzić rodzinę. Pewna samotna pani z własnym domem zaofiarowała im mieszkanie w zamian za opiekowanie się nią.

– Wspaniała kobieta, nauczycielka; stała się dla nas prawdziwą ciocią. Biedę jednak wciąż klepałiśmy, choć już na dojazdy do pracy miałem rower – pamięta.

Trochę lepiej zaczęło się Kuźmińskim powodzić, od kiedy Bolesława awansowano na szefa oddziału szpitalnego. Nadal jednak, aby utrzymać rodzinę brał dyżury i w dzień, i w nocy.

– O piątej po południu przychodziłem z pracy, zjadłem obiad i kładłem się spać. O dziewiątej wieczorem Izabela mnie budziła i znowu pracowałem od dziesiątej wieczorem aż do siódmej rano w przychodniach fabrycznych – wspomina.

Ciułali pieniądze na własny dom. Ponadto za Gomułki mógł nareszcie zaprosić i zobaczyć się, po prawie dwudziestu latach ze swoją matką. Anna Lesiowska przyjechała do Birmingham w 1957 r. na trzy miesiące. Wtedy tak naprawdę poczuł ból tragedii z powodu przedwczesnej śmierci Juleńki. Zmarła na tyfus w 1945 r. po zjedzeniu zakażonych lodów...

Po raz pierwszy odwiedził Kraj w 1959 r.

W szpitalu powoli awansował, został przełożonym pielęgniarzy na oddziale doraźnych obrażeń. Przeżył przy tym jednak sporo szykan ze strony Anglików, na co często są narażeni cudzoziemcy sprawujący funkcje kierownicze.

– Zawsze jednak wychodziłem jakoś obronną ręką. W 1959 r. kupiliśmy dom, w którym obecnie mieszkam. Był straszliwie zaniedbany, liczył zresztą sto lat. Musiałem go przebudowywać i unowocześniać; nauczyłem się stolarki i murarki.

W 1963 r. postanowił skończyć dzienne studia pedagogiczne na Uniwersytecie Londyńskim. I znów rodzina była przez dwa lata rozdarta, gdyż on mieszkał w Londynie, a do Birmingham przyjeżdżał tylko na weekendy. Ale to właśnie w tym czasie, w styczniu 1964 r. rodzi się Kuźmiński drugi syn – Jan Hemisz Filip. Półtora roku później Bolesław otrzymał dyplom wykładowcy pielęgniarstwa.

– Na Uniwersytecie Londyńskim zafascynowała mnie psychiatria i pielęgniarstwo psychiatryczne. Dlatego potem, przez 20 lat, aż do emerytury, byłem wykładowcą tej dyscypliny w szkole pielęgniarstwa w Birmingham, przygotowując średni personel dla szpitali psychiatrycznych.

Schorzenia psychiatryczne dzieli na: schizofrenię (kiedy człowiek traci kontakt z rzeczywistością), depresję i paranoję. Niektóre choroby są następstwami innych, m.in. nerwic. W Anglii jest wielu z zaburzeniami psychicznymi, co – jego zdaniem – wiąże się m.in. z cechami narodowymi Anglików: małomównością, nieokazywaniem sobie uczuć, wstrzemięźliwością emocjonalną.

Odejście Izabeli

W 1979 r. przeżył tragedię. Izabela, zatrudniona w Birmingham jako pielęgniarka przełożona w klinice skórnej, oznajmiła mu, że ma na piersi guz. Natychmiastowa amputacja piersi, kuracja farmakologiczna oraz naświet-

lanie promieniami Roentgena zahamowały rozwój choroby tylko na niecałe dwa lata. Potem zaczęły się przerzuty. Bolesław osobiście pielęgnował żonę w domu przez najtrudniejsze półtora roku, zawiózł ją nawet do Lourdes. Zmarła trzy tygodnie po powrocie z tego miejsca kultu, w lipcu 1983 r. Miała 59 lat.

– Ofiarowałem się wtedy, że przez kolejnych dziesięć lat będę jeździć do Lourdes z chorymi jako zwykły pielęgniarz. Misję tę zakończyłem niedawno, dopiero w 1993 r.

– Przez całe życie sił dodawała mi głęboka wiara – wyznaje zbołały przykrymi wspomnieniami. – Pomógł mi też wspaniały przyjaciel, angielski ksiądz. Jest moim osobistym spowiednikiem. Raz w miesiącu zapraszam go do siebie na kolację; próbujemy wtedy rozwiązać wiele problemów. Jest on błogosławieństwem dla mnie.

Przez cały czas starał się dbać o kondycję fizyczną. Dokonał nawet wyczynów sportowych, np. w 1985 r. pokonał z plecakiem, przez dwa tygodnie, 445-kilometrową trasę trudnego rajdu turystycznego po grzbiecie Anglii, tj. słynną „Pennine Way”. W 1991 r. uczestniczył też w Maratonie Londyńskim, zdobywając medal i dyplom. Do dziś uprawia codziennie długie spacer.

Po śmierci żony pracował jeszcze zawodowo dwa lata, do 1985 r., wychowując dorastające dzieci. Starszy, dziś 44-letni syn Julek wyspecjalizował się w operacjach finansowych. Prowadzi własną firmę pod Birmingham, utrzymując samodzielnie sześcioro dzieci oraz niepracującą żonę Angielkę, działaczkę ruchu antyaborcyjnego „Life”. Julek ma bliskie kontakty z ojcem. Bolesław regularnie w każdy weekend jeździ do nich na obiad i

rozdaje łakocie głośnej gromadce ukochanych wnucząt, które niestety o Polsce wiedzą niewiele.

– Jako mały chłopiec bywałem w Polsce – mówi po angielsku Julian, nie znający już języka ojca. – Pamiętam jednak bardzo niewiele.

O chęci wyjazdu ojca do Polski nie ma zdania. – Chciałbym, aby był szczęśliwy – kwituje, serwując w swym domu samodzielnie przygotowany wspaniały obiad (pieczona wieprzowina, ziemniaki, gotowana kapusta, marchew, deser z truskawek, kawa).

Młodszy syn, Hemisz Kuźmiński, pracuje w jednej z dużych firm public relation w Londynie. Przed rokiem ożenił się, też z Angielką. Jego kontakty z ojcem są sporadyczne. W ciągu mego pobytu nawet nie zatelefonował, wiem więc o nim niewiele.

Obydwaj synowie uczyli się muzyki. Julek do dziś gra podczas niedzielnych mszy w angielskim kościele katolickim, tzw. oratorium stworzonym w Birmingham przez kardynała Newmana. O pobieraniu lekcji muzyki przez juniorów Kuźmińskich świadczy też zabytkowe pianino w saloniku ich domu przy 18 Willow; niestety, dziś zavalone książkami, portretami, bibelotami.

Dla Ojczyzny

Bolesław opowiada powoli, spokojnie, piękną polszczyzną. Jak nauczyciel. Czasem gestykuluje, poprawiając na palcu rodowy sygnet Lesiowskich. Nie rozstaje się z nim nigdy, podobnie jak z odznaką lotnika.

Na emeryturze postanowił coś zrobić dla Kraju. Nawiązał kontakty z magazynierem miejscowego szpitala,

który wszystkie zbędne nadwyżki materiałów medycznych przekazuje przez Bolesława szpitalowi w Ciechanowie. Paczki w jego holu to już kolejny transport czekający na dostarczenie do Polski. Zajmuje się tym londyński oddział Medical Aid for Poland.

Elwira Soplińska, kierowniczka Wojewódzkiej Przychodni Matki i Dziecka w Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym w Ciechanowie, a w latach 1990-93 lekarz wojewódzki w Ciechanowie:

– Już kilkakrotnie dzięki Kuźmińskiemu otrzymaliśmy z Anglii drobny sprzęt medyczny oraz środki opatrunkowe. Od kilku lat nie przyjeżdża on nad Łydynię z pustą ręką.

Elwira Soplińska poznała Bolesława w 1990 r., kiedy będąc w Ciechanowie odwiedził szpital, chcąc podzielić się z nim dorobkiem swego życia.

– Byliśmy wzruszeni jego gestem – opowiada, nazywając Kuźmińskiego „człowiekiem Oświecenia”. – Postanowiliśmy wspólnie, że najbardziej w naszym szpitalu potrzebna jest wojewódzka poradnia leczenia zezra i niedowidzenia dla dzieci.

W 1991 r. Kuźmiński ofiarował 11 tys. funtów na jej zorganizowanie. W ten sposób powstała pierwsza w województwie poradnia ortoptyczna, przyjmująca teraz rocznie ponad 2 tys. dzieci z całego terenu Ciechanowskiego. Pracuje w niej obecnie dwóch lekarzy oraz dwie ortoptystki (wykonujące ćwiczenia z dziećmi).

– Gdyby nie ten cenny dar pana Kuźmińskiego, sądzę, że do tej pory nie byłoby środków na stworzenie tej bardzo potrzebnej specjalistycznej placówki. Dzięki jego hojności mogliśmy ją wyposażać w sprzęt i aparaturę – stwierdza dr Jadwiga Gołacka, ordynator oddziału okulistycznego ciechanowskiego szpitala.

Bolesław z dumą pokazuje podziękowania. Od ówczesnego dyrektora szpitala Michała Kornatowskiego oraz lekarzy: Alicji Karwowskiej, Elwiry Soplińskiej, Jadwigi Gołackiej. Przekazanie daru – czeku na 11 tys. funtów z przeznaczeniem na ochronę zdrowia matki i dziecka – odbyło się bardzo uroczyście, 30 października 1991 r., z udziałem władz, znajomych, lekarzy.

W tym samym dniu w Wojewódzkiej Przychodni Matki i Dziecka w Ciechanowie odsłonięto marmurową pamiątkową tablicę poświęconą jego matce Annie Lesiowskiej. Od tamtej pory przychodnia ta nosi też jej imię.

– Była zasłużona dla ciechanowskiej służby zdrowia; wielu obywateli naszego miasta przyszło na świat w jej obecności. To odpowiednia patronka tej przychodni – tłumaczy Elwira Soplińska, pokazując wiszącą u wejścia pamiątkową tablicę ze zdjęciem Anny Lesiowskiej.

– Dlaczego podarowałaś tak dużą, ciułaną latami kwotę? – pytam Bolesława w Birmingham.

Mówi, że czuł dług; wobec rodzinnego miasta, Polski, bliskich. Chciał coś zostawić Ojczyźnie, może matce... Zabierając głos powiedział wtedy:

„Oby nasza młodzież rosła zdrowo oraz w poczuciu spełniania swych obowiązków; tak jak czyniła moja matka Anna Lesiowska”.

Przekazał też część rodzinnych pamiątek do Okręgowego Muzeum: lichtarzy, dokumentów, itp.

– Pragnę być jednak przydatny Ojczyźnie bardziej bezpośrednio, mieszkając w swym rodzinnym mieście – tłumaczy. – Dlatego muszę wrócić, pomimo iż w Anglii mogę wygodnie dożyć ostatnich lat.

Decyzję o powrocie już podjął, teraz powoli przygotowuje się do jej realizacji. Niedawno otrzymał z Domu

Pomocy Społecznej „Kombatant” w Ciechanowie decyduje, że może liczyć na miejsce w tej nowej placówce. Mógłby wtedy zająć się np. tłumaczeniami angielskich tekstów, nauczać języków obcych, gdyż poza polskim i angielskim zna też dobrze niemiecki, francuski, włoski, łacinę, rosyjski. A może powróci do uprawiania poezji, czego już prawie zaniechał?

– Piszę, ale tylko czasami. Pochłaniają mnie codzienne obowiązki – przyznaje.

Pokazuje niektóre swe wiersze.

„Cisi bohaterowie”: „*Nie chodzą w chwale spełnionych czynów,/ani też świecą blaskami,/i nikt w nich nie widzi obrońców czy synów,/nikt nie wspomina ze łzami./Imiona ich teraz jak wielka karta,/która dziś może zamknięta,/jutro jednak będzie otwarta,/lub wcale nie będzie tknięta./Obca ich ziemia piastuje, samotni i opuszczeni,/lecz żyć będą w pośmiertnej chwale,/gdy ci co dziś po świecie rzuceni,/swe życie cisną na szalę./Wtedy ze wszystkich krańców pozbierrani,/spoczną na Matki łonie,/pod ciemną płytą z szarej grani, gdzie znicz święty po wieki płonie./I składać im będą holdy,/świata żywi synowie,/i każdy przed płytą głowę pochyli,/gdzie CISI LEŻĄ BOHATEROWIE...*”

„Dlaczego?” z 16 lutego 1981 r.: „*Do kraju mego ukochanego/tak mi tęskno, a dlaczego?/Ziemia tam biedniejsza,/woda nie czystsza,/niż tutaj ta obca/choć żywna i owocna.../To chyba w serca głębi/sentyment mnie gnębi/i smutek dla mego narodu,/co prze wciąż do przodu,/mimo braków i głodu/i wichrów szarpiących od Wschodu.../Bo ja też, tak samo,/na rodzicielkę wołam „mamo”/i choć z dala,/los mnie też zniewala/do Solidarności z mym Narodem/i pokoleniem jego młodym...*”

„Ty i ja”, czerwiec 1984 r.: *„No cóż? Ty tam, a ja tu.../wśród marzeń i snów/tęsknota – węży jad,/na serce spadł.../Pustka – szara z mora.../myśl rozproszona; od wczoraj/głosu Twego nie słyszę,/przeklinam okrutną ci-szę.../Sekundy, minuty, godziny.../smutno bez lubej dziewczyny./Brzask poranka daleko,/me serce za górą, za rzeką.../A Ty?/czy coś takiego zakłóca Ci sny?...”*

„Bez tytułu”, 1993 r. „...*Gdy szare myśli i smutek,/nawiedzą Psychy pielesze,/gdy serce cierniem poklute,/któż zdola ducha pocieszyć?/Jedynie na łonie poe-zji,/w Muzy miłosnym objęciu,/duch już za niczym nie tęskni,/radości nic nie zmąci...*”

– Na Wyspach nie ma dla mnie przyszłości – powta-rza często. – Synowie i wnuki mogą odwiedzać mnie w Polsce. Ja żyję już nadzieją na powrót.

Uważa się za niepoprawnego Polaka; nie może prze-stać czuć się synem tego narodu. Dlatego twierdzi, że trzeba dziś pomóc Krajowi, bo się dźwiga, choć jeszcze dużo w nim śladów po okupacji sowieckiej i komunisty-cznym wirusie.

– Zachód też nie jest przedsionkiem nieba, jak uwa-żają Polacy. Wielu jest omamionych Zachodem - prze-konuje.

Podzielone serce

– Jak oceniasz swe życie?

– Jako trudne. Swój status osiągnąłem bardzo ciężką pracą.

– Jakie błędy popełniłeś?

Zastanawia się. Może zabrakło mu konsekwencji, aby ukończyć studia medyczne? A może powinien zdobyć dyplom jednej ze szkół dramatycznych w Londynie i pracować dziś w teatrze; miał przecież, obok literackich, także zdolności aktorskie. Ale jest pogodzony.

– Widać tak chciał los... – pochyła ze smutkiem głowę.

Ma tylko nadzieję, że jego los skończy się w Ciechanowie. Że kiedyś spocznie w granitowym, zbudowanym przez siebie grobowcu na cmentarzu na ul. Gostkowskiej; razem z rodzicami i siostrzyczką Juleńką. Czeka tam na niego miejsce i pusta tablica...

Andrzej Piotrowski z Ciechanowa, urzędnik administracji państwowej:

– Przyjaźnię się z Bolkiem od 20 lat. Utrzymuję z nim stały kontakt, zawsze zatrzymuje się u mnie jak przybywa nad Łydyńnię. Ma podzielone serce, funkcjonuje pomiędzy Polską i Anglią; pomiędzy artylerią i lotnictwem; a po matce ma, że jest pielęgniarzem z sentymentem do medycyny.

Andrzej Piotrowski jest w Ciechanowie pełnomocnikiem Bolka. Prowadzi jego sprawy odnośnie starań o miejsce w Domu Pomocy Społecznej „Kombatant”, zajmuje się też jego 4,3-arową działką na ul. Reutta w Ciechanowie, którą Bolesław otrzymał od władz miasta w zamian za rozebrany dom Lesiowskich na ul. Pułtuskiej.

Pokazuje medal pamiątkowy, który Kuźmiński otrzymał w 1992 r. podczas Światowego Zjazdu Lotników Polskich.

– Podarował mi go – podkreśla. – Byłem nieco zdziwiony, ale nie mogłem nie przyjąć takiego prezentu.

– Jaki Bolek jest? – powtarza kilkakrotnie pytanie Piotrowski. – Myślę, że przede wszystkim aktywny i niezatapialny. W wieku 72 lat zaliczyć maraton w Londynie – to nie lada wyczyn. Ja, mając 18 lat mniej, nigdy nie dokończyłbym takiego biegu.

Elwira Soplińska zaprzyjaźniła się z Bolesławem od czasu przekazania daru. Nie było to trudne, gdyż mają wspólne zainteresowania: kochają Polskę i Włochy, interesują się historią i literaturą obydwu krajów, znają język włoski.

– Także te same miejsca w Italii, wina, zwyczaje, a nawet piosenki – śmieje się nucąc piosenkę o Florencji „Sta notte sei bella”, którą podczas spotkań śpiewają wspólnie.

I dodaje:

– Bolesław to nadzwyczajny człowiek! Patriota, humanista, z szerokimi zainteresowaniami. I džentelmen w każdym calu!

Zmiana życiowych planów

W czwartek, 12 grudnia 1996 r., podczas przygotowywania tej książki otrzymałam od Bolesława Kuźmińskiego list. Píše m.in., że kurs jego wędrówki „po tym padole łez i zgrzytania zębów” uległ zasadniczej zmianie. We wrześniu zaręczył się z Ireną Jamroz (jego przyjaciółką, o której pisałam wyżej) i wiosną 1997 r. biorą ślub. Planował tę uroczystość w Ciechanowie, w kościele far-

nym, ale było to zbyt kłopotliwe. Odbędzie się w kościele Braci Oratorianów w Birmingham, dokładnie 3 maja. Na organach zagra syn Julek.

„Obydwaj moi synowie z rodzinami przyjęli tę decyzję entuzjastycznie - pisze w liście. - Dzieciaki Julka tak lgną do Irki, a ona do nich, bo bardzo kocha dzieci, których sama niestety nie mogła mieć...”

– Czy Twoje plany powrotu do Ciechanowa są w tej sytuacji jeszcze aktualne? – zapytałam później przez telefon.

– Prosiłem dyrektora domu „Kombatant” Franciszka Budzianowskiego o trzymanie dla mnie miejsca... – odparł, jak zwykle tajemniczo.

U SZWOLEŻERA, KALETNIKA, DZIAŁACZA

W chłodny, choć słoneczny poniedziałek, 29 kwietnia, wyjeżdżam z Bolesławem do Londynu. W stolicy Anglii pragnę poznać innych ciechanowian, którzy po wojnie nie powrócili już do rodzinnych stron, a Bolek chce mi towarzyszyć. Tak się składa, że nie zna on swych rodaków osiadłych w Londynie. Zawrze z nimi znajomość dopiero teraz, dzięki temu, że wyszukałam w Polsce ich adresy.

Podobają mi się angielskie autobusy. Czyste i z dwuosobową obsługą: kierowcą oraz stewardesą. Obydwoje ubrani w identyczne schludne garniturki (ich kolor zależy od przewozowej firmy), grzeczni i bardzo usłużni wobec pasażerów. Mają ścisły podział obowiązków. Kierowca prowadzi pojazd oraz odbiera od podróżnych bagaże, które ustawia równo w autobusowych pojemnikach, a potem je sukcesywnie wydaje wysiadającym. Stewardesa zaś kontroluje zakupione w kasach bilety, usadza pasażerów na wyznaczonych miejscach oraz informuje przez mikrofon o podróży. Stara się ją umilać uśmiechem (choć Bolek szepcze, że brzydkim jak noc...) oraz serwowaniem kawy, herbaty i tostów, które własno-

ręcznie przygotowuje zakładając fantazyjny fartuszek. Zdumiewa mnie ten szacunek do człowieka i zupełnie nie rozumiem dlaczego Bolesław, któremu z plastikowego kubka ułało się na podaną serwetkę trochę kawy, robi stewardesie awanturę, że przy siedzeniach powinny być jeszcze stoliczki...

Po dwóch i pół godzinach wygodnej podróży przybywamy do rozległej stolicy Anglii. Jak mówią jej mieszkańcy, kontury Londynu przypominają „rozgniecione go pomidora”, a rozciągłość obszaru tej metropolii ze wschodu na zachód (wzdłuż Tamizy) liczy 50 km, zaś z północy na południe – ok. 40 km.

Z dworca Victoria jedziemy metrem do Józefa Mossakowskiego na południe miasta. W Londynie metro (underground) jest najszybszym i najbardziej bezpiecznym środkiem lokomocji. Na swej ok. 420-kilometrowej długości przewozi dziennie prawie 1,9 mln pasażerów. Pod domem Józefa Mossakowskiego jesteśmy więc po kilkunastu minutach, pomimo iż trzykrotnie musimy się przesiadać.

Ziomek Mossakowski wita nas z otwartymi ramionami.

– Co prawda nie mieszkam już w dużym wiktoriańskim domu, ale moje słodkie, maleńkie mieszkanko stoi dla was otworem – zaprasza żywo do środka.

Gospodarz jest szczupły, nieco pochylony, niewysoki. Twarz wyjątkowo pogodna, z nieodłącznym uśmiechem, w dużych okularach; wysokie czoło, siwe włosy.

– Dobrze, że pani przyjechała, bo za rok byłoby już za późno – zwraca się do mnie. – Albo byśmy wszystko zapomnieli, albo - jak większość naszych – odeszli z tego świata. Czujemy się tu już jak ostatni Mohikanie.

– Naprawdę jesteś absolwentem ciechanowskiego

gimnazjum? – dopytuje się Bolesława Kuźmińskiego. – W którym roku zdawałeś maturę? – dziwi się, że wcześniej się nie spotkali.

– W 1938 r., razem m.in. z Jerzym Olszewskim – odpowiada spokojnie Bolek.

– Aaa, to ty jesteś młody chłopak – klepie go po ramieniu swą potężną, jeszcze mocną dłońią.

Najlepszy w sporcie

Już podczas kolacji, którą konsumujemy w oszklonej, ogrzewanej gazowymi kaloryferami werandzie (jego dining-room), mówimy sobie wszyscy po imieniu. Józef Mossakowski opowiada z charakterystyczną ułańską swadą. Mówi dużo, barwnie, piękną polszczyzną. Często gestykuluje, wstaje; lubiąc demonstrować swe słowa. Tryska energią i witalnością.

Urodził się w 1914 r., w niewielkim dworku w Burkatach, osiem kilometrów od Ciechanowa. Podkreśla, że niedaleko Gołotczyzny, gdzie żyło i tworzyło dwoje wielkich Aleksandrów, fundatorów tamtejszej szkoły rolniczej: Aleksander Świętochowski i Aleksandra Bąkowska. Matka Józefa, Bronisława z Głódkowskich, przyszła do ok. 50-hektarowego rodzinnego gospodarstwa swego męża, Pawła Mossakowskiego w Burkatach, z pobliskiego majątku Gogole.

Józef przyszedł na świat jako najmłodszy z czwórki rodzeństwa (Mossakowscy mieli trzech synów: Marcelęgo, Jana i Józefa oraz córkę Janinę). Najstarszy był urodzony w 1892 r. Marceli.

– To on najwięcej się mną zajmował, bo ojciec ciężko

chorował na astmę. Marcelli opłacał moją naukę zanim się nie usamodzielnilem, zorganizował nawet w domu szkołę dla kilkorga dzieci ze wsi; do szkoły w Ciemnie-wku zacząłem więc uczęszczać później. Pamiętam, że woził mnie tam konno, przed sobą – wspomina.

Kiedy Józek miał sześć lat, obydwaj bracia: Marcelli i Jan, poszli na ochotnika walczyć z bolszewikami. Już wtedy, jako mały chłopiec, postanowił zostać szwoleżerem. Zachwycił go jeden z oddziałów 1 Pułku Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego, który chwilowo przebywał w Burkatach. Ich skrwawionych szabl, ich koni zmęczonych ówczesną wojną, spragnionych wody i pojonych wtedy w Burkatach, nigdy nie zapomniał.

– Matka podzieliła się z nimi ostatnim bochenkiem chleba, a ja powiedziałem, że chcę być tylko szwoleżerem – śmieje się Józef.

Konie, „te najbardziej mądre i wrażliwe zwierzęta”, pozostały jego miłością na całe życie. Wśród nich wyra- stał, dosiadał ich już jako czterolatek. Do dziś z największą przyjemnością opowiada o wszystkim co z nimi związane: o jeździe wierzchem, tzw. linijką (rodzaj ma- łego wozu konnego), bryczką, wozem drabiniastym; o dojeżdżaniu konno do ciechanowskiego gimnazjum na swym wierzchowcu Jacusiu („Ach, jaki ten Jacuś mądry był! Łaził za mną jak pies!”).

Jerzy Olszewski z Ciechanowa, młodszy kolega gim- nazjalny Józka, jeszcze pamięta, że jego koń był bardzo do Józka przywiązany.

– Przyjeżdżając nim do szkoły Józek budził powsze- chne zainteresowanie – opowiada farmaceuta Olszewski. – Niemal wszyscy prosili, aby dał się przejechać konno, ale on nikomu nie pozwalał. Wyjątkiem byłem tylko ja.

Ufał mi, gdyż w moim domu też były konie i umiałem dobrze jeździć.

Józef, przymykając oczy:

– Kiedy jeździłem konno po mazowieckich polach, łany żyta tak szumiały, że czułem się jak na morzu – rozkoszuje się do dziś.

Józefowi imponował też starszy brat Jan, który również uwielbiał konie i był zawsze znakomitym jeźdźcem. Błyszczał już podczas wojny z bolszewikami; wrócił z niej z Krzyżem Walecznych. Nikt jeszcze wtedy nie przypuszczał, że za kilka lat Jan zostanie „jeźdźcem nie z tego świata”.

W ciechanowskim gimnazjum Józef Mossakowski był najlepszy w sporcie. To też potwierdza Jerzy Olszewski.

– Biegałem jak zając – żartuje Józef. – Właściwie wytrenowały mnie moje psy w Burkatkach, z którymi się wciąż ścigałem.

Wygrywał w Ciechanowie nie tylko szkolne biegi na dystansach 100 m, 200 m, 400 m; również sztafety oraz skoki w dal i o tyczce.

– Nikt mnie nie mógł doścignąć, zbierałem wtedy w tych dyscyplinach wszystkie medale i nagrody – uderza ogromną i wciąż mocną dłońią w stół z radości i śmieje się szeroko.

– Miało się krzepę w tych dłoniach! W gimnazjum nikt mnie nie położył na rękę! Potrafiłem podnieść konia na barkach. Żaden Żyd dorożkarz nie brał ode mnie pieniędzy za przejazd, bo znali moją siłę – chwali się.

Lubił też tańczyć, miał powodzenie u dziewcząt (ciechanowianin Jerzy Olszewski twierdzi, że „szalone”).

– Najmilsze były bale sportowe, kiedy dziewczyny porywały mnie do tańca z tymi brzękającymi medalami na szyi – tryska humorem. – Miałem piękną młodość: szumną i słodką.

Ale uczniem najlepszym nie był. Zamiast ośmiu lat uczył się w gimnazjum roków dziesięć, zdając maturę w 1934 r.

Jako podporucznik kawalerii

Po gimnazjum Józef spędził trzy lata w Szkole Podchorążych Rezerwy Kawalerii w Grudziądzu, którą w 1937 r. ukończył jako podporucznik.

Jego brat Jan był tam już wtedy oficerem kawalerii, rotmistrzem i instruktorem jazdy. Był też wybitnym jeźdźcem kadry olimpijskiej. Zdążył wygrać wiele konkursów, aż 80 razy; oraz zdobył 300 flots (nagroda dla konia w postaci czerwonych ozdobnych wstążek). W latach 1934-37 wyszkolił w Alma Mater polskiej kawalerii (jak nazywano Grudziądz) 160 świetnych jeźdźców, którzy odnieśli potem wiele sukcesów międzynarodowych. Jan był jeźdźcem wszechstronnym: w ujeżdżaniu koni (trzykrotny mistrz Polski), w skokach przez przeszkody i WKKW (wszechstronnym konkursie konia wieżachowego). Jeszcze tuż przed wojną, w 1938 r., zdobył tytuł mistrza na Aldonie Czararze.

– Dostałem od niego w Grudziądzu straszną szkołę, gdyż jako brat znał moje słabości – o Janie Józef mówi zawsze z dumą i serdecznością. – Nie podobala mu się m.in. moja figura...

Po szkole w Grudziądzu Józef jako młody podporu-

cznik kawalerii służył w 1 Pułku Strzelców Konnych w Garwolinie. Wiodło mu się, jak mówi, bardzo dobrze. Dzięki wysportowaniu i szkole brata brylował w skokach, galopach i jazdach z przeszkodami. Po 11 miesiącach „młodego Mossakowskiego” przeniesiono do 1 Pułku Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego w Warszawie, z nadzieją, że junior będzie następcą znakomitego brata.

– Zaczynałem też już zbierać nagrody w jeździectwie, czasami wygrywałem nawet z Jankiem - twierdzi, że zawsze był uparty. – Wiosną 1939 r. pierwszy raz startowałem w zawodach jeździeckich w Bydgoszczy i zająłem od razu dziesiąte miejsce na 60 zawodników, zdobywając flot.

Ułańska ikra sprawiła, że już wtedy Józef był zaręczony z Inką z Warszawy, córką pułkownika Aleksandra Rudolfa, kwatermistrza w Garwolinie.

– Podporucznikowi, nawet kawalerii, nie wolno jednak było się żenić, gdyż za mało zarabiał. Nie pomogły starania na wysokim szczeblu i gotowa wyprawa panny młodej – Józef cieszy się jednak, że dzięki wybuchowi wojny nie doszło do tego małżeństwa.

Od Chorzel do Londynu

Podczas kampanii wrześniowej Józef był dowódcą plutonu Ciężkich Karabinów Maszynyerii w 1 Pułku Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego, którym dowodził wówczas płk Janusz Albrecht. Twierdzi, że jego szlak bojowy, bogaty w zacięte walki, zaczął się na moście w Chorzelach pod Przasnyszem (gdzie od razu płk Mieczysław Bigoszewski wystąpił z wnioskiem o uhonorowanie

go Virtuti Militari), a skończył na południu Polski, w okolicach Przemyśla.

– Musieliśmy się tam poddać, bo z jednej strony pędzili nas bolszewicy, a z drugiej nacierali Niemcy. Wybraliśmy niewolę niemiecką, dzięki czemu udało nam się ocaleć – opowiada.

Niewola okazała się nadzwyczaj długa. W niemieckim obozie jenieckim Arnswalde przebywał aż cztery i pół roku. Dziś postrzega ten okres nawet pozytywnie. Ukończył tam Wyższą Szkołę Wojenną (pod okiem polskich fachowców), uprawiał sport, zdobył sporo wiedzy z historii, nauczył się kilku języków obcych. W koszarach istniała duża biblioteka, sklepik. Towarzystwo też było interesujące; wśród internowanych w oflagu był m.in. jego sławny w świecie jeździeckim brat Jan, Adam Rapacki (późniejszy minister spraw zagranicznych: „dokarmiłem go, bo nie otrzymywał paczek”) oraz bliski jego przyjaciel Stasio Leśniewski (zięć generała Władysława Sikorskiego), który nauczył Józefa języka francuskiego. W sumie w oflagu Arnswalde przebywało ponad 4 tys. oficerów, w tym 3 tys. polskich. Reszta to głównie Francuzi i Belgowie.

W ostatnim dniu kwietnia 1945 r., czyli na dziesięć dni przed końcem wojny, po zbombardowaniu ich oflagu przez lotnictwo polskie z RAF-u, Józef zbiegł z obozu. Uciekli w szóstkę, m.in. z bratem Janem. Trafił do 10 Pułku Dragonów 1 Dywizji Pancernej generała Stanisława Maczka.

– Koniec wojny przeżywałem w pełni szczęścia, wreszcie w polskiej armii – zaciera z radością ręce.

Potem przez dwa lata pełnił z 1 Dywizją Pancerną służbę okupacyjną na zachodzie Europy; konkretnie stał

na pograniczu Niemiec i Holandii, w obozie Sandbostel. Z przyjemnością opowiada o odwróceniu ról. Tam to Polacy zajmowali domy Niemców, zaś niedawni okupanci mieszkali w chlewach i kurnikach oraz pracowali na ich utrzymanie. Ok. 7 tys. Polaków, żołnierzy generała Maczka, stworzyło nawet miejscowość Maczków. Niektórzy pozakładali rodziny i zostali tam na zawsze.

– Byli i tacy, którzy zdecydowali się wtedy na powrót do Polski – przypomina. – Od razu ich pozamykali. Dlatego wybiłem to sobie z głowy.

Wiosną 1947 r. Józef przyплыł na Wyspy. Wstąpił w Londynie do Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia (PRC).

– Przez dwa lata w PRC pełniłem różne funkcje; byłem np. kwatermistrzem i instruktorem kulturalno-oświatowym – opowiada. – I cały czas szukałem dla siebie zajęcia.

Zdemobilizowany został dopiero wiosną 1949 r.

Torebka musiała się dobrze otwierać

Pierwszy rok po demobilizacji był w Anglii dla oficera kawalerii najtrudniejszy.

– Nie stać mnie wtedy było nawet na zelówki – przyznaje. – W wynajmowanym mieszkaniu żałowano nam wody na kąpiel, bo nie mieliśmy czym za nią płacić.

Potem dwóch kolegów namówiło go, aby zaczął z nimi robić damskie torebki z towaru powierzonego przez Żyda. Najpierw trudno mu było wyrobić normę, po kilku tygodniach zarabiał już więcej niż koledzy, a po pół roku

Żyd zatrudnił go bezpośrednio w swoim zakładzie oferując jeszcze wyższą stawkę.

– Zacząłem tam podpatrywać stylistę, który tworzył modele torebek – demonstruje jak podglądał i uczył się wycinania form, łączenia materiałów, wykonywania rysunków, itp. – W końcu wykonałem pierwszy model samodzielnie. Wmówiłem wtedy Żydowi, bez zmruczenia oka, że ukończyłem w Warszawie szkołę modelarską, a w Wiedniu pracowałem w jednej z bardziej znanych firm kaletniczych.

Wkrótce zajął miejsce modelarza, którego podpatrywał. Wzory torebek Józefa się podobały, dobrze się sprzedawały; zarabiał więc coraz więcej.

– Po roku sam uwierzyłem, że jestem wykształconym stylistą, bo firma dzięki moim modelom się rozwijała. Zmieniłem więc ją na większą, zatrudniającą 250 ludzi, gdzie kierowałem całym działem z 70 pracownikami, wykonując dalej modele torebek.

Dzięki ogłoszeniu w gazecie znalazł potem jeszcze lepszą pracę, tym razem u Heima, polskiego Żyda z Sosnowca. Zarabiał u niego dwa razy więcej. Powodziło mu się coraz lepiej, jako jeden z pierwszych Polaków w Londynie kupił samochód sobie i żonie, nabył duży dom (z pięcioma sypialniami i dwoma salonami). Niestety, małżeństwo Heima było wyjątkowo nieudane. W 1972 r. musiał on przed żoną uciekać do Ameryki, zostawiając jej firmę, którą ona wkrótce doprowadziła do bankructwa. Heim podarował wtedy Irenie, żonie Józefa, na pamiątkę piękny żółty kabriolet.

Tym razem, szukając pracy po bankructwie zakładu Heima, Józef nie stawiał już specjalnych warunków płacowych. Po kilku latach tworzenia torebek doczekał w

kolejnej kaletniczej firmie 65 lat i przeszedł na emeryturę. Dorabiał jednak jeszcze w kaletnictwie przez kilka lat jako konsultant.

– Co nowego wprowadziłeś do damskich torebek? – pytam.

– Torebka musiała się dobrze otwierać i zamykać. Dodawałem też do nich innego koloru dodatki, np. paski, klamerki, wstawki. O Boże! Ileż ja tych torebek w życiu stworzyłem! Największy sukces osiągnąłem chyba w wieczorowych, takich lśniących: złotych i srebrnych. Cudeńka te sprzedawały się w Londynie dosłownie jak kartofle!

W słodkim gniazdku

Poranek w oszklonym dining-room Józefa Mossakowskiego wygląda zupełnie inaczej niż wieczór. Jemy śniadanie wśród licznych roślin wewnątrz werandy oraz rozkwitających wiosennych kwiatów w ogrodzie przed domem. Przez szybę widać bzy, konary zakwitających grusz oraz innych nieznanych mi drzew i krzewów. Otwieramy oszklone drzwi. Jesteśmy w ukwieconym królestwie Józka, pełnym narcyzów, prymul, tulipanów i bratków. Pachną hiacynty, śpiewają ptaki. W Londynie!

– Długo szukałem tego słodkiego mieszkanka – mówi gospodarz. – Zanim zostałem sam, mieszkałem w Londynie z rodziną w ogromnym wiktoriańskim domu. Sprzedawałem go pięć lat temu.

Jego obecne gniazdko jest dwupoziomowe, w szeregu willi, na małej, cichej uliczce 1 Linnet News. Proble-

my z jej odszukaniem miał nawet angielski taksówkarz, który podwiózł nas z Bolkiem ze stacji metra. Parter stanowi salonik, kuchnia i wspomniana już oszklona weranda. Góra to dwie niewielkie sypialnie i łazienka.

Inwentaryzuję w saloniku: duża różowa kanapa z pluszu, dwa takie same różowe fotele, barek, etażerka z książkami, niewielki stolik, dwa białe krzesła, dwa stojące drewniane kwietniki (takie w staropolskim stylu) i telewizor ustawiony na stylowym stoliczku. Książek, obrazów i fotografii – ile tylko można było w tym niewielkim wnętrzu zmieścić.

W widocznym miejscu, choć nie rzucającym się w oczy, wisi olejno malowany na płótnie Jastrzębiec I, rodzinny herb Mossakowskich.

– Zrobiłem też z nim sygnety dla obydwu córek – podkreśla.

Porównuję obydwu ciechanowian na emigracji. Józef jest zadowolony z życia, bardziej dynamiczny, spełniony (pomimo iż z ukochanymi końmi nie miał już praktycznie po wojnie do czynienia); wrośnięty w życie Londynu. Natomiast dla Bolesława Anglia wydaje się przypadkowym miejscem pobytu... Trudno jednak ocenić, który z nich osiągnął w tym kraju więcej.

Mossakowski pokazuje książki ze wzmiankami o nim. Z dumą zdejmuje też ze ściany rozporządzenie z 1 listopada 1990 r. emigracyjnego rządu RP, opravione w ramkę. Czytam: „Pan rotmistrz Józef Mossakowski został przeniesiony w stan spoczynku i awansowany do stopnia majora”.

Chętnie ubiera się w wyjściowy mundur, wyciąga odznaczenia, m.in. *Virtuti Militari*, Krzyż Walecznych, Złoty Krzyż Zasługi, Krzyż za Kampanię Wrześniową,

Krzyż za 1 Dywizję Pancerną, British Defence Medal, British War Medal i inne.

Nie zgadza się z Bolkiem, że Anglia to kraj „parszywy dla Polaków”.

– To najlepszy kraj na świecie dla emigrantów. Renty nie są duże, ale za darmo jeżdżę kolejkami po całym Londynie i jeszcze poza nim. Za darmo mam opiekę lekarską i leki. Ludzie są mili, państwo dba o obywateli. Władze ci nawet pomogą w opłaceniu czynszu; chyba, że je prosisz, a twoje konto w banku przekracza 3 tys. funtów. Czy będziesz tak miał w Polsce? – pyta Bolka.

– Ale będę u siebie – mruczy Kuźmiński.

– W naszym przypadku to już nie wiadomo, gdzie my jesteśmy u siebie, a gdzie obcy – broni swej tezy Mossakowski, przeglądając londyńską polską prasę, m.in. „Dziennik Polski” i „Dziennik Żołnierza”, „Orzeł Biały”, które rano przynosi mu listonosz.

W obronie historycznej prawdy

Wsiadamy do białego forda escorta Józefa i w trójkę jedziemy do słynnego sanktuarium oręża polskiego, tzn. Instytutu Polskiego i Muzeum im. Generała Władysława Sikorskiego (Polish Institute and Sikorski Museum). Pomiędzy swych 82 lat Mossakowski jako kierowca jest bardzo sprawny. Swobodnie porusza się po zatłoczonych ulicach Londynu; zmienia tylko okulary. Ruch w tej metropolii nie jest łatwy, gdyż długie nie kończące się willowe ulice są „na zderzak” zastawione z obydwu stron autami (każdy Anglik chce mieć samochód przy domu). Z powodu ciasnoty na ulicach dwukierunkowych trudno się mijać.

– Całe szczęście, że kultura kierowców jest tu wysoka i wszyscy siebie wzajemnie przepuszczają – mówi Mossakowski.

Rzeczywiście widok pojazdów czekających w luźniejszych miejscach ulic – aż przejedzie inny – jest w Londynie powszechny; praktykuje go też nasz kierowca.

– Jednak już kilkakrotnie miałem stłuczone lusterko, bo nie raz trzeba było mijać się niemal na styk – przyznaje.

Instytut mieści się w znakomitym miejscu, w pięknej rezydencjonalnej dzielnicy w pobliżu Albert Hall, na ulicy 20 Prince's Gate, biegnącej wzdłuż znanego Hyde Parku. Duży budynek ma pięć kondygnacji i podziemie. Pod polskim orłem w koronie, zawieszonym na jego frontonie, wchodzimy do środka.

Zaraz za drzwiami stoi polska, wyprodukowana w latach 1937-39 w Pruszkowie pod Warszawą, armata z rozerwaną lufą. Już w głównym korytarzu jest gęsto od obrazów, portretów, gablot i sztandarów. Jeszcze więcej eksponatów z okresu II wojny światowej prezentuje każda z wystawowych sal.

Oprowadzający nas po muzeum Jerzy Czerwiński zaczyna od historii placówki. Ma ona swoje początki w 1945 r. Najpierw w tym obiekcie stworzono Instytut Historyczny im. Generała Władysława Sikorskiego. Obecna nazwa powstała w 1965 r., od czasu fuzji Instytutu z inną londyńską placówką naukowo-kulturalną: Polskim Ośrodkiem Naukowym.

– Kiedy po wojnie okazało się, że Polska pozostanie w strefie wpływów radzieckich, czyli będzie skazana na drugą okupację, tym razem przez Rosję Sowiecką, wśród

Polaków na Wyspach narodziła się myśl zorganizowania instytucji dla umieszczenia i zabezpieczenia pamiątek polskich i o Polsce – tłumaczy przewodnik. – Prezydent RP Władysław Raczkiewicz upoważnił wówczas dowódców wojsk lądowych, marynarki i sił powietrznych do przekazania zbiorów i pamiątek do Instytutu Historycznego im. Generała Sikorskiego. Podobną decyzję rząd podjął odnośnie swoich ministerstw, urzędów i komórek zagranicznych. Gdy władze brytyjskie rozwiązały Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie, generał Władysław Anders polecił też oddziałom złożenie tu sztandarów.

Na zbiory, które zaczęły napływać, zakupiono ten dom (od lorda Woodbridge, przyjaciela Polaków, który sprzedał go za pół ceny). Pieniądze pochodziły z datków żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych oraz brytyjskiego Interim Treasury Committee. Po połączeniu w 1965 r. z Polskim Ośrodkiem Naukowym, z biegiem lat do Instytutu dołączyły też: Polski Instytut Historyczny (1973 r.) oraz Studium Polski Podziemnej (1988 r.). Instytut działa zgodnie z prawem angielskim jako organizacja charytatywna.

– Niemal wszyscy pracujemy tutaj społecznie – podkreśla Jerzy Czerwiński. – Po to, aby ta narodowa instytucja była zawsze strażnikiem prawdy historycznej o Polsce i o polskim wkładzie w drugiej wojnie światowej.

– Odwiedza nas tu ok. 4 tys. osób rocznie – tłumaczy jego koleżanka, Maria Ojakowa. – Największą satysfakcję sprawia nam, kiedy przychodzi do nas młody człowiek, często nie znający słowa po polsku, aby szukać tu swoich korzeni, bo np. słyszał, że jego dziadek walczył w II wojnie.

Obecne zbiory muzeum, które jest oknem wystawowym Instytutu, są imponujące. Równolegle z muzeum

funkcjonuje tu archiwum (ponad 700 metrów bieżących akt), biblioteki, ponadto Instytut posiada olbrzymie archiwum fotografii (ok. 40 tys.) oraz ponad 300 filmów o tematyce wojskowej. Instytut jest również poważnym domem wydawniczym (jego monumentalnymi wydawnictwami są „Polskie Siły Zbrojne w II wojnie światowej” i pięciotomowa „Armia Krajowa w dokumentach 1939-45”), warsztatem naukowym dla badaczy historii, miejscem okolicznościowych wystaw narodowych, sesji naukowych, spotkań rodaków, ośrodkiem propagującym Polskę.

Nie sposób opisać w tym miejscu bezcennych archiwaliów oraz największej poza krajem kolekcji militariów z II wojny światowej. Obok pamiątek po generale Sikorskim oraz dokumentów wojennych rządu RP, znajduje się tu również odnaleziona w Niemczech część zbrojowni Krasińskich ze wspianiałymi okazami starej zbroi polskiej z XVII wieku i eksponatami z epoki napoleońskiej. Pokażne zbiory stanowią mundury, uzbrojenie, odznaczenia oraz różne przedmioty związane z walką Polskich Sił Zbrojnych na obczyźnie oraz z walką Armii Krajowej.

– Przykro to mówić, ale gdyby trafiły one do kraju, nie przetrwałyby do dziś – twierdzi Maria Ojakowa.

Zbiory Instytutu przewyższają dziś znacznie możliwości ekspozycyjne. W muzeum wystawiane są jedynie pamiątki szczególnie cenne. Wśród nich duże wrażenie robi gablota ze zniszczonym mundurem i dystynkcjami generała, które Władysław Sikorski miał na sobie w chwili śmierci oraz jego czapka wyłowiona u brzegów Afryki. Dech zapiera kolekcja ponad 80 historycznych sztandarów polskich oddziałów wojskowych, kawałki klasztoru spod Monte Cassino i historyczny proporczyk

12 Pułku Ułanów Podolskich, który pierwszy został zatknięty 18 maja 1944 r. na szczycie zdobytego klasztoru.

Mnie szczególnie wzrusza orzeł, który dla Andersa wyhaftowały, niemi z prześcieradeł, dzieci podrzucone w 1942 r. przez matki pod obozy wojskowe w Związku Radzieckim, chcąc uchronić je przed gehenną sowieckich łagrów i więzień. Potem dzieci te przebywały na Bliskim Wschodzie u Andersa w tzw. ochronkach.

Słucham – jak bajek – opowieści przewodników o niezwykłych losach ludzi, pięknie i tragizmie tamtych dni, pełnych poświęcenia i nadziei, wypełnionych pracą dla Polski i walką o wolność. Oglądam eksponaty upamiętniające wyprowadzenie przez Andersa ze Związku Radzieckiego – na skutek polityki ZSRR podporządkowującej sobie Polskę – polskiej armii (ponad 78 tysięcy żołnierzy) do Iraku i Iranu w czasie od marca do sierpnia 1942 r. Wraz z armią opuściło ZSRR ponad 20 tys. polskich kobiet i dzieci.

– Poza dziećmiakami w ochronkach były też starsze dzieci, dla których Anders tworzył szkoły powszechne i średnie, m.in. wojskowe szkoły kadetów, szkoły mechaniczne i lotnicze, a dla dziewcząt pierwszą na świecie szkołę wojskową w Nazarecie - opowiada jedna z „nazaretanek”, pokazując dokumenty i zdjęcia z tamtych lat. – Szkoły zostały rozwiązane w 1946 r., a większość z nas żyje, pamięta tamte lata i działa w Kole Nazaretanek.

Słyszę, że kobiety w wojsku to odrębny temat. Służyło ich w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie ponad 7 tys., w tym w Pomocniczej Służbie Kobiet – 4,8 tys., w lotnictwie – 1080, w marynarce – 110, w ochotniczej służbie zdrowia - 750.

Instytut to okno na Polskę

Rozmawiam z rotmistrzem Ryszardem Dembińskim, prezesem Instytutu Polskiego i Muzeum im. Generała Władysława Sikorskiego (synem generała artylerii 2 Korpusu), oficerem 9 Pułku Ułanów.

– *Jaką rolę odgrywa Instytut?*

– Trzeba na to patrzeć inaczej w różnych okresach jego istnienia. Przez pierwsze 50 lat, kiedy w Polsce panował ustroj komunistyczny i kraj był pod wpływami sowieckimi, Instytut był przede wszystkim jedynym źródłem prawdy o II wojnie światowej. Historycy, którym udało się do nas dotrzeć, tylko tutaj mogli zapoznać się z nie sfalszowanymi dokumentami. Równocześnie dzieci dużej rzeszy Polaków osiadłych w Anglii tu uczyły się Polski, bo wtedy do Kraju się nie jeździło. Również Polacy z Ameryki, Australii czy innych kontynentów, którzy przejeżdżali przez Londyn, też tutaj wstępowali, aby poznać kawałek swej Ojczyzny. Ponadto Instytut wydawał przez cały czas różne historyczne prace oparte na prawdzie, gdyż był on i pozostał do dziś instytucją niezależną. Przez pierwsze 50 lat Instytut był więc dla Polaków placówką ważną, zarówno pod względem historycznym, jak i sentymentalnym.

– *Dziś jednak można już do Polski jeździć i nie trzeba prostować historii. Jaką więc aktualnie pełni rolę?*

– Obecnie o wiele więcej osób z kraju, szczególnie historyków i naukowców przyjeżdża tu, aby korzystać z naszych zbiorów muzealnych, bibliotek, archiwum. W Polsce powstają bowiem nowe książki, odkłamuje się

historię, przygotowuje nowe podręczniki, inaczej pisze się artykuły. Trzeba pamiętać, że każdy, kto podejmuje się pracy nad okresem II wojny, musi tu przyjechać, gdyż cała dokumentacja z tego okresu znajduje się tutaj. Rząd RP na uchodźstwie, powołany 30 września 1939 r. we Francji z inicjatywy gen. Sikorskiego, a po klęsce Francji przeniesiony 17 czerwca 1940 r. do Londynu, nie działał jako rząd emigracyjny. Był to wówczas jedyny rząd polski, uznawany za granicą, reprezentujący państwo polskie w stosunkach międzynarodowych, kontynuujący wojnę z Niemcami, m.in. poprzez sprawowanie zwierzchniej władzy nad Polskimi Siłami Zbrojnymi na Zachodzie i kierowanie ruchem oporu w okupowanym Kraju. Miał wszystkie ministerstwa, urzędy, ambasadorów na całym świecie, nie miał tylko własnej policji. Tym samym Polska, mimo że poniosła klęskę militarną, nie mogła być uznana za kraj podbity. Tu bowiem funkcjonowało prawdziwe państwo na obczyźnie, aż do czasu uznania przez mocarstwa Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej i cofnięcia temu rządowi uznania na podstawie decyzji konferencji poczdamskiej z 5 sierpnia 1945 r. Dopiero wtedy rząd RP na uchodźstwie stał się rządem emigracyjnym. Stąd mamy ponad 2,5 miliona dokumentów państwowych z okresu wojennego, które przybyły do nas z całego świata. Udostępniamy je historykom i naukowcom, nie tylko zresztą z Polski.

– Dużo osób przyjeżdża teraz z Polski do Instytutu po lekcje historii, jeszcze do niedawna wypaczanej w podręcznikach szkolnych?

– Coraz więcej, najczęściej aby obejrzeć muzeum. Jak pani zauważyła jest to trochę inne muzeum, gdyż jest

ono eksponowane jako jedna wielka prywatna kolekcja. Jest to zamierzone, gdyż łatwiejsze do strawienia, szczególnie przez ludzi młodych. Dwukrotnie odwiedził też nas Lech Wałęsa, który powiedział, że jesteśmy jego najlepszą ambasadą. Coś w tym jest, gdyż tu uczą się też Polscy cudzoziemcy. Np. jeden z historyków angielskich pisze aktualnie książkę o związkach angielskiej rodziny królewskiej z Polską i korzysta często z naszych zasobów; czynią też to inni, m.in. znany brytyjski historyk Norman Davies. Instytut to okno na Polskę.

– *Z czego się utrzymuje?*

– Przede wszystkim ze składek członków wspierających, których jest kilka tysięcy; z darowizn, spadków i odsetek od nich. Zdążyliśmy też zrobić sami pewien kapitał, bo w 1970 r. w skład Instytutu weszła Fundacja Sztandarów Polskich Sił Zbrojnych, której celem jest zgromadzenie funduszy na zabezpieczenie siedziby Instytutu i na konserwację sztandarów. Kapitał Instytutu powiększa oczywiście fakt, że prawie wszyscy pracują tu społecznie, czyli cały czas dopłacają do placówki.

– *A czy garną się do tej pracy także ludzie młodzi, następne pokolenie Polaków? Czy Instytut nie umrze wraz z wojenną emigracją?*

– Większość z tych 84 pracowników, którzy zajmują się funkcjonowaniem Instytutu, to już następne pokolenia Polaków. Też pracują tu honorowo, poza swoimi obowiązkami zawodowymi. Pracy społecznej nauczyliśmy się od Anglików, tu każdy ma hobby lub działa społecznie w jakiejś organizacji. W Polsce jest to często niezrozumiałe.

– *Czyli Instytut nie zaginie?*

– Wykluczone, jest przecież potrzebny. Cały czas ciułamy środki na utrzymanie i konserwację zbiorów, które wciąż się powiększają. Rośnie też liczba jego członków honorowych. Coraz częściej stają się nimi osoby i placówki z Polski, np. niedawno zapisała się do Instytutu Akademia Marynarki Wojennej w Gdyni, a nawet dwie szkoły powszechne.

– *Jak cię czują tutejsi Polacy bez rządu emigracyjnego?*

– Służba tego rządu trwała tak długo, jak miała trwać. Pieczęcie i symbole suwerenności zostały przekazane przez prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego w styczniu 1991 r. Lechowi Wałęsie podczas jego inauguracji prezydenckiej na Zamku Królewskim w Warszawie. Tutejsza emigracja, której wkład w podtrzymywanie polskich dążeń niepodległościowych Kraju oraz w jego narodową kulturę jest bardzo duży, uznała, że Polska jest dziś krajem wolnym i demokratycznym. Misja nasza została więc spełniona. W Anglii działa jednak mnóstwo polskich instytucji, organizacji i stowarzyszeń; wciąż o nieślabnącej witalności. Polacy nie czują się tu samotni.

– *Czy rzeczywiście Polska jest już wolna?*

– O jej losach decydują dziś Polacy znad Wisły. My możemy się tutaj tylko zastanawiać, dlaczego do władzy powróciła partia Kwaśniewskiego, co naszym zdaniem jest dla Kraju niekorzystne. Jest to jednak tylko nasza opinia, nie możemy się dziś wtrącać; Polska jest krajem suwerennym. Jesteśmy jednak zdziwieni, że po tylu latach walki z poprzednim ustrojem Polacy ponownie od-

dali się w ręce ludzi, którzy tamten reżim współtworzyli. Ale ludzie są tylko ludźmi i często błędzą. Sądzę, że Polacy naprawią ten błąd podczas najbliższych wyborów.

– *Dziękuję za rozmowę.*

Kochał jak szwoleżer

W żonie, Irenie z domu Owczarzak, Józef Mossakowski jest zakochany do dziś. Choć umarła w 1990 r., będąc o dziesięć lat od niego młodszą...

Pokochał ją od pierwszego wejrzenia, z ułańską ikrą i fantazją, aż po grób.

– Zakochałem się jak sztubak, na jej widok poczułem nagle, że moje nogi są jak z waty; choć miałem już 34 lata – były szwoleżer nie wstydzi się swego uczucia. O swej ukochanej Irenie mówi z czułością przy każdej okazji.

Poznał ją wiosną 1947 r. w Londynie, na potańcówce oficerów polskich z dziewczętami polskimi i angielskimi. Spotkanie to sam organizował, jako zastępca kwaterymistrza w PRC.

– Jej piękne blond włosy, niebieskie oczy i tego samego koloru długa, niebieska suknia oczarowały mnie – przyznaje. – A jak pachniała!

Kolejka, by z nią zatańczyć, była długa, a kiedy Józef się już do niej dopchał, zapytała go czy nie... zaopiekowałby się jej psem, bo wyjeżdża wkrótce na studia do USA. Po kilku spotkaniach z ciechanowskim szwoleżerem Irena zrezygnowała jednak z nauki za oceanem; 4 czerwca 1947 r. wzięli ślub.

*Józef Mossakowski jako uczeń
gimnazjum. Ciechanów, 1934 r.*



*Józef Mossakowski (z prawej na pierwszym planie) ze swoją klasą w
gimnazjum. Ciechanów, 1934 r.*



Ostatnia defilada Józefa Mossakowskiego w Szkole Podchorążych Kawalerii w Grudziądzu, 1937 r.



Jako podporucznik w 1 Pułku Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego w Warszawie, 1938 r.



Jako jeńiec wojenny w niemieckim oślagu w Arnswalde, Józef Mossakowski drugi z lewej w drugim szeregu. Arnswalde, 1941 r.



Brat Józefa, sławny jeździec i trener Jan Mossakowski, uczy jeździć swą żonę Alinę. Grudziądz, 1930 r.



General Władysław Sikorski na Bliskim Wschodzie z dziewczętami z 2 Korpusu, po jego lewej stronie Irena Owczarzak, późniejsza żona Józefa



Uczennice z 2 Korpusu w drodze na odprawę, druga z prawej Irena Owczarzak. Nazaret, 1943 r.



Józef Mossakowski jako dowódca plutonu podczas powojennej okupacji Niemiec, 1947 r.



Podczas dwuletniej okupacji na Zachodzie Józef też jeździł konno. Niemcy, 1947 r.



*Józef Mossakowski do dziś jest w Irenie zakochany, choć zmarła w 1990 r.
Londyn, 1954 r.*



Przybycie na Wyspy, 1947 r.



Pierwsze załoty do Irlandii. Londyn, 1949 r.



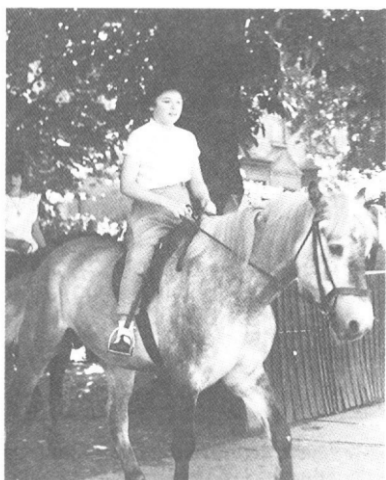
*Józef był z Ireną zawsze szczęśliwy.
Londyn, 1956 r.*



*Irena ze starszą córką Jolą.
Londyn, 1956 r.*



Prezydent RP na wychodźstwie August Zalewski (1947-72) z żoną i adiutantem dziękują dzieciom za udział w koncercie świątecznym, pierwsza z prawej Jola, córka Mossakowskich, która grała utwory Chopina. Londyn, 1959 r.



Córka Jolanta też umie jeździć konno. Londyn, 1963 r.



Józef Mossakowski podczas obchodów 1000-lecia Polski. Londyn, 1966 r.



Na jednym z zebrań Koła Dragonów, którego prezesem był Józef Mossakowski. Londyn, 1965 r.



Na jednym z zebrań zarządów kół kawalerii, Instytut im. Generała Władysława Sikorskiego w Londynie



Podczas pierwszych odwiedzin rodziny w Polsce, na pierwszym planie już nieżyjąca jedyna siostra Józefa, Janina Czarnecka. Bieńki Karkuty, 1973 r.

*Cala rodzina w nowym fordzie
corser, trzecim z kolei aucie
Mossakowskich. Londyn, 1965 r.*



*Córka Jolanta z mężem.
Londyn, 1978 r.*



Józef Mossakowski z córkami. Londyn, 1978 r.



Józef Mossakowski przy grobie ukochanej żony Ireny, z wnuczką Prudenc. Londyn, 1993 r.



Przy swoim fordzie escortie. Londyn, maj 1996 r.



Z odznaczeniami w swoim mieszkaniu. Londyn, maj 1996 r.



Rotmistrz Ryszard Dembiński, prezes Instytutu Polskiego i Muzeum im. Generała Władysława Sikorskiego w Londynie, maj 1996 r.



Siodło z dawnej zbrojowni Krasin'skich. Muzeum im. Generała Władysława Sikorskiego w Londynie, maj 1996 r.

Irena Owczarzak przeszła w dzieciństwie gehennę. Urodziła się w 1924 r. w Krzemieńcu, gdzie został przeniesiony jej ojciec, policjant z Poznania. Zginął w Katyniu. Irenę z matką i siostrą zesłano do Kazachstanu. Od zagłady uchroniła je armia Andersa. Irena w trzyletniej szkole w Nazarecie zrobiła maturę; awansowała w 2 Korpusie do stopnia plutonowego; w Egipcie prowadziła księgowość. W 2 Korpusie była też jej matka Maria Owczarzak oraz siostra Stefa Karpeta z mężem. Wszyscy trafili do Anglii w ramach demobilizacji i pozostali w Londynie.

– W Londynie zamieszkaliśmy z matką żony, która prowadziła nam dom. Irena była piękną, delikatną, dobrą kobietą i wspaniałą towarzyszką życia. Prowadziła domowe finanse, ale w kuchni potrafiła przyrządzić jedynie jajecznicę i zaparzyć herbatę – mówi o żonie z wielkodusznością, bez złośliwości.

Urodziły się im dwie córki, które też są dumą Józefa Mossakowskiego. Podkreśla, że całe życie w nie inwestowali. Irena przerwała pracę zawodową (była księgową w dużej angielskiej firmie eksportowej) i zajmowała się wychowywaniem dziewczynek aż do czasu rozpoczęcia przez nie nauki w gimnazjum. Dopiero po 22 latach małżeństwa podjęła znowu pracę, tym razem jako buchalterka w agencji British Airway. On dużo zarabiał. Dzięki temu obydwie córki są wszechstronnie wykształcone.

– Ukończyły prywatne szkoły, potem Uniwersytet Londyński; umieją też jeździć konno, grać na instrumentach muzycznych, tańczyć, uprawiać sporty – chwali się Józef.

Ojciec czuwał nawet nad ich szczęściem małżeń-

skim. Np. starszej córce pomógł odejść od męża po czterech latach związku, gdyż Anglik, jak opowiada, był „not boy for my tougher”.

– To był cham! – wstaje z miejsca jeszcze dziś wściekły. – Wcale jej nie szanował! Dlatego pomogłem Jolancie się wyprowadzić podczas jego nieobecności, wynieść nawet jej fortepian; a potem opłacić jej na pewien czas pobyt w Ameryce, aby zapomniała o nim.

Jolanta (ur. 1950 r.) jest dziś biochemikiem, biznesmanką i szczęśliwą matką. Pracowała naukowo, była dziennikarką „Timesa” w USA (gdzie wyjechała, aby uciec od pierwszego męża); obecnie prowadzi dużą agencję testującą leki, mającą swe przedstawicielstwa w Anglii i USA. Jak twierdzi jej ojciec, Jolanta Bacston (to nazwisko po drugim mężu) aktualnie zatrudnia naukowców, organizuje naukowe zjazdy i konferencje międzynarodowe i jest bardzo bogata. Jej mąż, Barry Bacston („ten wspaniały człowiek”), jest chemikiem i pracuje w jednej z największych w Wielkiej Brytanii firm farmaceutycznych.

– Mieszkają w rezydencji pod Manchesterem – Józefowi oczy błyszczą z radości. – Mają pięć sypialń, kilka łazienek, służbę i ogromny ogród ze wspaniałą roślinnością! Doczekałem się też ich udanych wnucząt: Oliwiera (11 lat) i Prudens (9 lat). Obydwoje są bardzo zdolni. Oliwier poszedł chyba w moje ślady, bo jest najlepszym sportowcem w szkole! – uradowany wyciąga rodzinne fotografie.

Młodsza córka Danuta (ur. 1961 r.), obecnie Aernshaw, jest doktorem mikrobiologii. Pracuje naukowo w jednej z firm medycznych i mieszka, też w pięknym domu, pod Londynem. Do jej angielskiego męża Dawida, również doktora mikrobiologii, Józef nie ma zastrzeżeń. Mało tego! Twierdzi wręcz, że jest aż za dobry, bo nawet

gotuje i zajmuje się domem. Mają syna Edwarda; podczas mojej bytności w Anglii Danuta była w ciąży z drugim dzieckiem.

– Obydwie córki bardzo troszczą się o mnie, zapraszają, często dzwonią, nawet z takimi pytaniami czy zaliczyłem już dziś spacer – cieszy się Józef pokazując zdjęcia.

Cztery razy w Polsce

Urlopy Mossakowscy spędzali na Kontynencie, przeważnie na południu Europy: we Francji lub we Włoszech. Powodziło im się dobrze, więc zabierali na wakacje całą rodzinę: dzieci, babcię, wynajmując nad morzem całą willę albo mieszkanie. Byli też w Egipcie i Izraelu.

– Podróżować lubiła szczególnie Irena – opowiada Józef. – Zwiedziła z młodszą córką niemal cały świat.

Do Polski też jeździli.

– To znaczy ja, bo Irena wybrała się ze mną tylko pierwszy raz, w 1960 r. – podkreśla Józef. – Ja odwiedziłem Kraj cztery razy, natomiast ona była bardzo rozczarowana stosunkami w Polsce. Więcej jej nie mogłem na wyjazd namówić.

Ostatni raz był w Polsce w 1993 r. na zjeździe kombatanów. Jak zawsze odwiedził rodzinę i znajomych w Ciechanowskim, swego brata Jana mieszkającego w Poznaniu (pozostałe rodzeństwo: Marceli i Janina zmarli wcześniej). Jana widział wtedy po raz ostatni, odszedł na tamten świat zaraz po powrocie Józefa do Londynu, kilka tygodni po śmierci swej żony.

Sławny brat Jan

Warto wrócić do Jana Mossakowskiego, brata Józefa, by poświęcić trochę miejsca temu wybitnemu jeźdźcowi i trenerowi. Jan też był absolwentem gimnazjum w Ciechanowie.

Za kampanię wrześniową – a Jan Mossakowski walczył w 2 Warszawskiej Brygadzie Pancerno-Motorowej pod dowództwem płk. Stefana Roweckiego – otrzymał dwa Krzyże Walecznych. Po ucieczce z oflagu Arnswalde Jan, tak samo jak Józef, trafił do obozu Sandbostel pod granicę holenderską. Następnie wyjechał do Włoch i w 2 Korpusie u Andersa był zastępcą dowódcy 1 Pułku Ułanów Krechowieckich. Tam – dzięki pomocy Józefa – dojechała z Polski jego żona Alina z córką Marzeną. Cała rodzina przybyła na Wyspy w celu demobilizacji. W Szkocji, gdzie zamieszkali, urodziła im się druga córka. Nie potrafili się jednak znaleźć w Wielkiej Brytanii, wrócili do Polski w 1947 r.

W Kraju czuł się jednak też niepożądany. Wojna przerwała mu karierę jeździecką, a powojenne władze PRL traktowały go jak burżuazyjny relikwiarz wielkopański.

– Był szykanowany, nie mógł znaleźć pracy; w końcu zatrudnił się u Żyda, w prywatnym biurze planowania przestrzennego we Wrocławiu, gdzie najpierw zamieszkali - wspomina brata Józef.

Do jeździectwa wrócił dopiero za Gomułki. W 1957 r. przyjął propozycję stworzenia Zakładu Treningowego Koni Eksportowych w Sierakowie Wielkopolskim, który po pół roku został przeniesiony do Poznania; Jan prowadził go osiem lat. W Poznaniu stworzył też silny Ośrodek Sportu Jeździeckiego, szkoląc w latach 1957-72 (podaję

za kwartalnikiem historycznym „Przegląd Kawalerii i Broni Pancernej”, tom XII, 1995 r.) świetny zespół jeźdźców. Był organizatorem i kierownikiem tego Ośrodka, instruktorem jazdy oraz trenerem jeździeckiej kadry narodowej. Do jego wychowanków należą m.in. Jan Kowalczyk, Marian Kozicki i wielu innych, którzy zdobywali laury olimpijskie, nagrody w konkursach międzynarodowych i krajowych.

Pomimo iż od 1972 r. Jan Mossakowski przebywał na emeryturze, dużo pracował społecznie. Cały czas był sędzią klasy państwowej i międzynarodowej we wszystkich trzech konkursach olimpijskich: ujeżdżaniu, skokach i WKKW; wspinałym pedagogiem. Dzięki talentowi, doświadczeniu i nieprzeciętnej pracowitości do końca swych dni wniósł ogromny wkład w odbudowę polskiego jeździectwa.

Zmarł 7 lipca 1993 r. Spoczywa w Poznaniu, gdzie mieszkają jego córki.

W polskich organizacjach i parafii

Józef aktywnie działa w polskich organizacjach w Londynie. Jest m.in. członkiem Stowarzyszenia Virtuti Militari, Stowarzyszenia Kombatanów Polskich, Instytutów: Piłsudskiego i Sikorskiego, należy do zarządu gminy Londyn Południe. Jest administratorem jednego z obiektów Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego. Działa też aż w trzech kołach pułkowych, w tym jednym – Kołu 1 Pułku Szwoleżerów – prezesuje.

– Ciągłe się zbieramy, współorganizujemy i uczestniczymy w świętach oraz uroczystościach narodowych,

bywamy coraz częściej na pogrzebach, pomagamy sobie wzajemnie, gramy w brydża; tu nie ma nudy – opowiada w swym mieszkaniu.

– W przetrwaniu tutaj pomaga nam Kościół – dodaje.
– Polskie parafie są ostoją polskości, dzięki nim następne pokolenia trwają przy wierze ojców.

Jedziemy do jego polskiej parafii katolickiej na Balham. Józef, prowadząc swego forda opowiada, że ok. 2 tysięcy polskich rodzin z tej okolicy wykupiło na własność dawny kościół ewangelicki - teraz jest to ich świątynia pod wezwaniem Chrystusa Króla. Polacy wykupili też na własność położony w pobliżu kościoła dom Hamilton Hause. Od 1969 r. mieści się w nim Polski Ośrodek Katolicki, z widocznym z daleka polskim godłem na froncie.

– Podczas jego otwarcia rozsypano tu rodzinną ziemię z różnych miejscowości, skąd pochodzą tutejsi Polacy – opowiada mój przewodnik.

W Ośrodku funkcjonuje biblioteka, bar, restauracja i kawiarnia; są sale, m.in. bankietowa i widowiskowa. Akurat dzieci polskiego pochodzenia ćwiczą tańce narodowe, przygotowując się do występów z okazji święta 3 Maja.

Mówi proboszcz parafii na Balham, ks. prałat Władysław Wyszowski:

– W Ośrodku działa sobotnia szkołka języka polskiego, przedszkole, kilka zespołów artystycznych. Organizujemy występy teatralne i koncerty polskich artystów, ma tu siedziby wiele polskich organizacji. W miarę jednak jak topnieją szeregi pierwszej emigracji, coraz mniej młodych chce poznawać język i kulturę swych przodków.

Naprzeciwko Ośrodka polskie delikatesy. Nabieram apetytu, gdy widzę polskie świetne wędliny, konfitury, miody, a nawet ciasta.

– Prowadzę ten sklep od 1970 r. – zwierza się właściciel. – Bywam w rodzinnej Warszawie, ale nie zamierzam wracać. To już dla mnie inny świat.

W drodze powrotnej Mossakowski usprawiedliwia sklepikarza:

– Powrót dla większości z nas jest już niemożliwy. Nie moglibyśmy już żyć w przekupnych, nienormalnych warunkach. Tu obowiązują jasne reguły gry.

Głównym polskim kościołem Londynu jest od 1961 r. kościół św. Andrzeja Boboli na Leysfield Road w Hammersmith. Znajduje się tam słynna płaskorzeźba Matki Boskiej Kozielskiej, wykonana w obozie przez porucznika Tadeusza A. Zielińskiego w latach 1939-40. Towarzyszyła ona żołnierzom polskim na całym szlaku 2 Korpusu. Modlono się też przed nią na ołtarzach polowych pod Monte Cassino. Ozdobą tej świątyni są również cztery piękne witraże poświęcone: Władysławowi Andersowi i żołnierzom 2 Korpusu, Stanisławowi Kopańskiemu i Brygadzie Karpackiej, Stanisławowi Maczkowi i 1 Dywizji Pancernej oraz Lotnikom Polskim.

Młodsza, a odeszła pierwsza...

Irena zmarła na raka wątroby, mając 66 lat. Józef mówi, że w przeciwieństwie do niego wiadomość o tej strasznej chorobie przyjęła ze stoickim spokojem. Zgodziła się na operację, ale jak zaczęły się przerzuty, całkowicie pogodziła się ze śmiercią. Nie pozwoliła rodzinie

plakać. Powiedziała tylko: Józku, ja cię przy doktorze proszę, nie oddawaj mnie już więcej do szpitala; ja chcę umrzeć w domu.

Józef od razu smutnieje.

– Stworzyłem jej w domu warunki, jakich by nie zapewnił jej żaden szpital – opowiada ze spuszczoną głową. – Kupiłem specjalne materace, sprzęt medyczny, maszyny do wietrzenia pokoju. Zapewniłem opiekę lekarską i pielęgniarską rano i wieczorem, ale cały dzień sam się nią opiekowałem. Zmarła w domu, jak sobie życzyła. Z uśmiechem na ustach. Jedną jej rękę trzymałem ja, drugą młodsza córka Danuta...

– Całe życie dla niej pracowałem, aby nie cierpiała z powodu niedostatku, aby miała wszystko, czego zapragnie – Józef Mossakowski do dziś jest twardzielem, nie rozkleja się za bardzo; pomimo widocznego bólu nie płacze. – Nie mogę tylko zrozumieć, dlaczego tyle lat młodsza, a odeszła pierwsza, zostawiając mnie samego... Przecież w Londynie żyje jeszcze jej siostra, a nawet 94-letnia matka. Tylko jej nie ma...

Zbudował w Londynie swej ukochanej żonie piękny pomnik. Zawsze są tam świeże kwiaty. Nie mógłby jej opuścić i wyjechać do Polski; musi dbać o grób. Jest wciąż w Irenie zakochany i pragnie spocząć na zawsze obok niej...

Kto przejmie miłość do koni

Po powrocie jadę szukać śladów Józefa Mossakowskiego w jego rodzinnych Burkatach. Do dziś znajduje się tam drewniany, ponad stuletni dom – niewielki dworek, w którym się urodził. Otoczony drzewami, pomalo-

wany na brązowo, stoi w samym środku rodzinnych włości. Duże podwórko, po którym spacerują oryginalne drobne białe-czarne kaczki, zamykają zabudowania gospodarcze. Stodoła jest jeszcze kryta strzechą.

W gnieździe Mossakowskich mieszka dziś syn Marcelgo (najstarszego brata Józefa), 67-letni Sławomir Mossakowski z żoną Urszulą. Obydwoje są nauczycielami, już emerytowanymi. On pracował w Specjalnym Ośrodku Szkolno-Wychowawczym w Gołotczyźnie; ona - uczyła matematyki w Szkole Podstawowej w Sońsku, gdzie dziś jeszcze dorabia jako nauczycielka religii. Równocześnie przez cały czas zajmowali się rodzinnym gospodarstwem.

Sposób mówienia, uśmiech, rysy, gesty Sławomira Mossakowskiego są niemal identyczne jak Józefa. Podobna, charakterystycznie pochylona jest też jego sylwetka oraz sposób chodzenia. Mówi o ojcowiznie:

– Zostało nam już z niej tylko dziesięć hektarów. Zabudowania gospodarcze są także inne, poprzednie spłonęły w 1946 r. Tylko dwór pozostał ten sam.

Wnętrze dworku zachowało atmosferę dawnych lat. W cichych, nieco mrocznych pomieszczeniach liczne stare meble, porcelana, zegary, książki, świeczniki, duży i ciężki dębowy stół nakryty śnieżnobiałym lnianym obrusem.

Urszula Mossakowska:

– Mieszka się tu wspaniale. Dom jest zdrowy – ciepły zimą, a chłodny latem. I wygodny, bo mamy już wodę i centralne ogrzewanie. Tylko tynki już zaczynają pękać, tworzą się zacieki.

Sławomir Mossakowski:

– Zostaliśmy tu sami, bo żadne z dwójki naszych dzieci nie poszło w ślady Mossakowskich. Nie wiemy, co się stanie z tym siedliskiem, gdy nas zabraknie.

Córka Alina ukończyła Szkołę Główną Gospodarstwa Wiejskiego i pracuje w Warszawie. Syn Michał, absolwent Zespołu Szkół Rolniczych w Gołotczyźnie, mieszka w Ciechanowie i zajmuje się handlem (kierownik sklepu Domar). Niedawno, 10 lipca, został ojcem; tym samym Urszula i Sławomir Mossakowscy stali się dziadkami.

– Dzięki wnukowi nazwisko Mossakowskich przetrwa. Wuj z Londynu już się martwił, że ród zaginie; powinien teraz przyjechać i zobaczyć następcę – tłumaczą młodzi Mossakowscy (Józef i jego brat Jan mieli same córki, zaś Marceli jedyne go syna, Sławomira, obecnego gospodarza Burkat).

Bratanek Józefa Sławomir pamięta, że w domu było zawsze dużo mundurów i koni. Przed wojną oficerowie kawalerii przyjeżdżali tu często na wakacje; natomiast w czasie okupacji ojciec Marceli wysyłał do oflagu paczki dla Jana i Józefa.

– Najbardziej lubilem wuja Józefa - przyznaje Sławomir. - Był zawsze wesoły, rodzinny, serdeczny.

– I bardzo hojny, zresztą jak wszyscy Mossakowscy – dodaje żona.

Obecny pan na Burkatach też kocha konie. Do dziś hoduje dwie klacze. Jedną, 12-letnią kasztankę, kupował jeszcze słynny jeździec, wuj Jan z Poznania. Po tej kasztance jest druga klacz, dwulatka; obydwie bez imion. Prezentuje je z dumą na dużym podwórku porośniętym trawą.

– W całej wsi są dziś tylko trzy konie, w tym aż dwa moje – chwali się pan Sławomir. – Tylko jak mnie zabraknie, kto przejmie rodzinną pałeczkę? Czy wraz ze mną nie skończy się miłość Mossakowskich do koni?

U PRAWNIKA, KAWALERZYSTY, PISARZA

Razem z dwoma angielskimi ciechanowianami: Bolesławem Kuźmińskim oraz Józefem Mossakowskim, odwiedzam 29 kwietnia w Londynie trzeciego krajana - Wiesława Antoniego Lasockiego. Mieszka on na Balham, niedaleko Józefa Mossakowskiego, wraz z żoną Tamarą.

Na parterze ich dużego, trzypoziomowego, wiktoriańskiego domu, z charakterystycznymi ozdobnymi sufitymi – salonik z pięknym kominkiem. Uwagę zwraca duża ilość obrazów i kwiatów. Oryginalnie wyglądają stojące na stole kolorowe bratki posadzone w mosiężnej wazie, obsypana różowymi kwiatami azalia w doniczce, a także wyjątkowa obfitość papirusów.

- Mąż najbardziej kocha Ciechanów i konie, dlatego ta tematyka najczęściej się powtarza w naszym domu - mówi piękną polszczyzną, ze śpiewnym wschodnim akcentem pani Tamara, pokazując sporą kolekcję dzieł i pamiątek, m.in. malarstwa braci Otto i Ludwika Maciągów. Zamek Książąt Mazowieckich w Ciechanowie zajmuje w tych wnętrzach czołową pozycję.

Lasoccy witają nas serdecznie, choć oboje są bardzo

chorzy. Pani Tamara ma nawet trudności z podaniem herbaty, ale Józef Mossakowski, przyjaciel tego domu, dzielnie jej pomaga. Gospodyni – siwiutka, uśmiechnięta, ciepła – cierpi na astmę i artretyzm. Jej mąż jest jeszcze bardziej schorowany. Po przebytych trzech zawałach musiał się poddać operacji przeszczepienia arterii wieńcowych; potem operacji biodra i nerek (żyje tylko z jedną); obecnie doszła jeszcze podagra. Były rotmistrz porusza się dziś o lasce.

Okazuje się, że z opisywanej tu piątki bohaterów jego droga na Wyspy, gdzie na stałe zapuścił korzenie, była najdłuższa i najtrudniejsza.

– Zawsze podziwiałem wuja, że mimo tak skromnej postury i niezbyt mocnej konstrukcji fizycznej zdołał tyle w życiu znieść – powie o nim potem w Ciechanowie jego bratanek, Wiesław Andrzej Lasocki, inżynier rolnictwa, zatrudniony w Ośrodku Doradztwa Rolniczego „Poświętne”.

Harcerstwo i prawo

Wiesław Antoni Lasocki urodził się w Ciechanowie na ulicy Małgorzackiej 17 listopada 1913 r.

– Jestem już staruszką, mam prawo chorować – pomimo 83 lat zachował humor oraz wyjątkową jasność umysłu.

Jego starszy o siedem lat brat Stanisław Lasocki, inż. chemik, który pozostał nad Łydynią, pracował w cukrowni „Ciechanów”. Umarł w 1981 r. Odeszli też ich rodzice, i to już w czasie wojny. Zmarli w 1944 r. w Grodzisku, gdzie są pochowani, jedno po drugim w od-

stępie dwóch tygodni, co podkreśla, „było dla nich bardzo szczęśliwe”. Sędziwy już ciechanowianin zasmuca się:

– Byłem już w Londynie po demobilizacji, kiedy się dowiedziałem o ich śmierci...

Rodzice pochodzili z rodzin ziemiańskich, obydwójce spod tego samego herbu „Dołęga I”. Matka, Celina z domu Zakrzewska, z dużej, liczącej 1000 morgów posiadłości Białyszewo w powiecie sierpeckim, zaś ojciec Ludomir Jakub Lasocki – z majątku Klewki pod Przasnyszem. Dziadek ojca, Antoni Bogumił Lasocki był powstańcem 1863 r. i osiem lat spędził na zesłaniu w Rosji.

– Ciekawe, że mój syn jeździ tam teraz w sprawach biznesowych – uśmiecha się Wiesław Lasocki. I podziwia rodziców: – Tworzyli piękną parę. Ojciec był brunetem o niebieskich oczach, a matka popielatą blondynką, pełną wdzięku i godności. Ojciec urodził się już po powrocie dziadka z Syberii; ukończył Wyższą Szkołę Handlową w Warszawie i pracował w Ciechanowie, m.in. jako kasjer w browarze Karola Machlejda oraz w banku mieszczańsko-rolniczym.

Jest typem intelektualisty: bardzo szczupły, operujący klasyczną polszczyzną, przywiązujący wagę do wypowiedzianych słów.

Ucząc się w ciechanowskim gimnazjum Wiesław przez dłuższy czas zajmował się harcerstwem, co opisał potem w książce pt. „Z Ciechanowa w szeroki świat” (wydanej przez Muzeum Okręgowe w Ciechanowie). Bezpośrednią przyczyną tej pasji był, jak twierdzi, uśmiech zastępowej Sabci Dziedzicówny, wysłany do niego pewnego wieczoru, kiedy lał deszcz, a on samotnie spacerował z psem.

– Zrobiło mi się wtedy od razu cieplej i od tamtej pory zacząłem za moją sympatią jeździć na obozy harcerskie – żartuje. – Potem zostałem zastępowym w 5 Mazowieckiej Drużynie Harcerskiej im. gen. Henryka Dembińskiego i już sami organizowaliśmy sobie wyprawy. Józek Mossakowski był wtedy u mnie młodszym harcerzem.

Maturę w Gimnazjum im. Zygmunta Krasińskiego w Ciechanowie zdał w 1932 r. Po czterech latach studiów na Uniwersytecie Warszawskim im. Józefa Piłsudskiego został magistrem prawa.

Wspomina:

– Nigdy nie żałowałem wyboru zawodu. Kochałem zdobywanie wiedzy, ponadto cztery lata spędzone w Warszawie zapisały się w mojej pamięci jako okres bujnego życia, swobody i przeżyć. Aktywnie działałem również w największej organizacji uniwersyteckiej Bratniej Pomocy oraz w Kole Prawników.

Jako świeżo upieczony prawnik, w sierpniu 1936 r., otrzymał od razu przydział do Szkoły Podchorążych Rezerwy Kawalerii w Grudziądzu. Miał już wtedy obiecana aplikanturę w Warszawie, którą jednak po odbyciu służby wojskowej, niestety, objął ktoś inny. Zdecydował się więc na pracę w administracji państwowej w Toruniu, gdzie wojewodą był późniejszy prezydent RP na obczyźnie Władysław Raczkiewicz.

– U niego praktykowałem – opowiada nie bez dumy. – Jako młody prawnik jeździłem z Raczkiewiczem często w delegacje.

Ale niedługo potem, jeszcze przed ukończeniem praktyki, otrzymał nominację na tzw. sędziego starościńskiego w Starogardzie pod Gdańskiem. Wyjechał tam

przy końcu zimy 1939 r. Nie wspomina miło tego miejsca:

– Praca tam była jednak niewdzięczna i mało intratna.

Na dwa miesiące przed samą wojną spróbował jeszcze sił jako młody prawnik w zakładzie urządzeń gazowych w Radomiu, gdzie otrzymał pensję czterokrotnie wyższą. Tam zastała go druga wojna. Nie zapomniał do dziś jednej z letnich kąpiei nad Pilicą, gdzie wraz z kolegami usłyszał dramatyczne przemówienie marszałka Rydza Śmigłego, że „nie oddamy nawet guzika od szaty naszej ojczyzny...”.

W wojnie z Niemcami i Sowietami

W czasie kampanii wrześniowej otrzymał przydział do 3 Pułku Strzelców Konnych w Wołkowysku, na rubieżach Rzeczypospolitej. Piękna kresowa ziemia; obfitująca w knieje, rzeki i jeziora, potęguje u Wiesława zaszczerpioną nad Łydynią miłość do zwierząt i przyrody. Miłość ta zakwitnie po latach na kartach jego książek.

Na wojnę wyruszał w dobrym nastroju. Bo choć zdawał sobie sprawę z potęgi militarnej Niemiec, miał nadzieję, że Polacy mając takich sojuszników, jak Wielka Brytania i Francja, szybko odniosą zwycięstwo.

Rozczarował się niemal na starcie. Od 4 września 1939 r., kiedy to otrzymał polecenie przewiezienia dwóch skrzyń z mapami i dokumentami do DOK w Grodnie (Dowództwa Okręgu Korpusu), wskutek sprzecznych rozkazów i wadliwych informacji, stracił łączność ze swym pułkiem.

– Od tego dnia rozpoczęły się moje przygody wojen-

ne, bardzo różne od wyobrażeń - pokazuje książkę „Przez tundrę i pustynie”, w której opisał swe losy (wydała ją Polska Fundacja Kulturalna w Londynie w 1993 r.). – Książka ta powstała w oparciu o osobiste zapiski, które czynilem na gorąco: w Związku Sowieckim na skrawkach papieru, a w Palestynie, Włoszech i Anglii już w zeszytach.

Pisze w niej, że dopiero porządkując notatki pojął jak wielką rolę w jego życiu odegrała przyjaźń towarzyszy niedoli. Uprzątnął też sobie, że w porównaniu z innymi zesłańcami los obszedł się z nim łaskawie. Może dlatego, że nigdy nie stracił nadziei? A może wpływ na jego ocalenie miał wyniesiony z Ciechanowa harcerski hart i wychowanie? Bo nawet w tych tragicznych latach zdarzało mu się cieszyć pięknem dzikiej tundry, stepów, gór czy pustyń; co dla jego wielu kolegów było rzeczą niepojętą.

Choć wyruszył na wojnę z Niemcami, okazało się, że zaraz musiał walczyć też z Sowietami. Po wkroczeniu na ziemie polskie Armii Czerwonej, 17 września 1939 r., brał udział w walkach z czerwonoarmistami w Grodnie i Sopoćkinach. Nocą, 25 września (datę tę zapisał w książeczce do nabożeństwa, którą udało mu się zachować do dziś), w szeregach 102 Pułku Ułanów przekroczył granicę z Litwą, gdzie złożono broń.

„Los jest dziwny, bo kazał nam szukać schronienia w kraju, z którym przez 20 lat niepodległości nie udało się Polsce nawiązać przyjaznych stosunków, pomimo kilkusetletniej wspólnej historii” – konkluduje w swych wspomnieniach.

W książce „Przez tundrę i pustynie” opisuje szczegółowo internowanie żołnierzy polskich w Rakiszkach

(pobyt tam wykorzystał m.in. na zaplombowanie zębów u miejscowej dentystki, Żydówki mówiącej po polsku) i w Wyłkowyszkach (pełnił tam funkcję adiutanta majora). *„Byliśmy tam w stanie głębokiego przygnębienia. Zawiedli nas zachodni sojusznicy, ziemiami polskimi podzielili się Niemcy z Sowietami, a my rozbrojeni czuliśmy wstyd z powodu klęski, żal do przywódców i do siebie samych”* – pisze z goryczą.

– W końcu lipca 1940 r. zbliżywszy się do drutów otaczających nasz obóz w Wołkowyszkach ujrzałem nagle zamiast litewskich wartowników, ciasno siedzących żołnierzy sowieckich. Okazało się, że Litwę zajęli Sowieci, a my zostaliśmy im przekazani – opowiada dziś w swym pokoju na pierwszym piętrze londyńskiego domu.

Gabinet, w którym powstała większość z jego kilkunastu książek, jest bardzo skromny. Podobnie jak sam autor. Centralne miejsce zajmuje duże biurko i biblioteczka; poza nimi jest jeszcze tapczan, szafa, nocna szafeczka. Na ścianie portret żony Tamary oraz kalendarz z fotografiami koni.

Wędrówka po łagrach

Po kilkudniowej podróży wagonami towarowymi, żołnierzy internowanych w Wołkowyszkach wysadzono w Kozielsku. W obozie, w którym ich umieszczono już wtedy się mówiło, że przed nimi więziono tam tysiące polskich oficerów, jeńców wojennych. Na potwierdzenie tych pogłosek znaleźli w ziemi, podczas kopania rowu odwadniającego, kilka metalowych orzełków. Nie do-

wiedzieli się jednak o dalszych losach polskich generałów; już wówczas wieści o nich rozchodziły się szeptem.

– Ja byłem wtedy podchorążym, a tych Sowieci zaliczali do szeregowych. 21 sierpnia 1940 r. wywieziono nas z Kozielska do łagru Pawliszczew Bor pod Moskwą. Poza potrójnym rzędem kolczastych drutów i wieżami strażniczymi zapamiętałem tam nitki babiego lata unoszące się w słońcu...

W tym łagrze spędził, razem z ok. 3 tys. żołnierzy, prawie rok. Twierdzi, że w tamtych lasach nie było aż tak bardzo źle. Traktowano ich jak internowanych, pozwalano czytać, dyskutować, uczyć się języków obcych. Wykonywali drobne prace w obozie, nie głodowali, a funkcjonariusze NKWD, tzw. politrucy, przekonywali ich o słuszności i wspaniałości komunizmu.

Z książki „Przez tundrę i pustynie”:

„Dla utrzymania odporności fizycznej wielu z nas, m.in. ja, dokonywało tam ablucji na dworze. Polewaliśmy się wzajemnie zimną wodą z menażek, myliśmy się codziennie do połowy, również podczas 30-stopniowych mrozów; chodziliśmy regularnie na spacer. Dzięki temu tak się uodpornilem, że ani razu się nie przeziębilem, nie miałem kataru, ani bólu głowy. Kilka proszków „z kogutkiem”, które zabrałem na wszelki wypadek idąc na wojnę, przywiozłem nietkniętych do Anglii”.

Na początku czerwca 1941 r. wszystkich zdrowych żołnierzy (po badaniach lekarskich) wywieziono z obozu Pawliszczew Bor pod Moskwą poza krąg polarny, czyli „do białych niedźwiedzi”. Po wielodniowej podróży koleją na północne koło podbiegunowe, m.in. przez Leningrad, Pietrozawodsk, Półwysep Kola; wśród bezkres-

nych przestrzeni, ośnieżonych gór, stad reniferów, przez szczeliny w wagonach mogli też zobaczyć otoczone drutami kolczastymi łagry oraz ludzi pędzonych do roboty pod zbrojną eskortą.

– Wyładowano nas w Murmańsku, na stacji towarowej. Potem wycieńczeni szliśmy kilka godzin do obozu przejściowego; umieszczono nas w namiotach i barakach. Przez tydzień tam pracowaliśmy, ale tylko wewnątrz obozu.

Siwiutki, szczupły Wiesław Lasocki opowiada dziś, po ponad pół wieku, swe wojenne przeżycia niemal beznamiętnie. Wtedy jednak, jako łagiernicy, ustawieni równo szóstkami, w fufajkach i czapkach z nausznikami, oczekując na dalszy transport do następnego obozu, czuli, że zostaną wywiezieni tam, skąd niewielu powraca...

Pomimo to Wiesław potrafił i tam dostrzec urok poranka polarnego lata. I poza kręgiem polarnym był, jak wszędzie, miłośnikiem i pilnym obserwatorem przyrody. Pamięta, że podczas opuszczania Murmańska na niebie paliły się jaskrawe łuny, zabarwiając morską wodę na czerwono. Kiedy wielkimi barkami dopłynęli do stojącego na redzie statku „Klara Zetkin”, środka ich dalszego transportu, mieli wrażenie, że zanurzają się w ciemnej, gęstej krwi...

„Krajobraz z wysokimi, stromymi skalami, niemal czarnymi statkami i luną był niezwykle malowniczy, ale ponury i dramatyczny; omal nierealny” – pisze swym prostym, oszczędnym językiem.

Płynęli cztery dni: przez Morze Barentsa, wzdłuż brzegów Półwyspu Kolskiego. Wysadzono ich 26 czerwca 1941 r. na nagim, dzikim i ośnieżonym lądzie. Okazało się, że był to Ponoj, przylądek Półwyspu Kolskiego. Trafili do obozu otoczonego z trzech stron wodami mórz

(Barentsa i Białego), z czwartej strony, tuż za drutami łagru, rozpoczynała się bezkresna tundra. Była pełnia polarnego lata. Słońce w ogóle nie zachodziło, panował wieczny dzień. Tylko w porze wschodów i zachodów niebo pokrywało się płomiennymi, drgającymi łunami. Pomimo ciągłego dnia oraz środka polarnego lata, pokryta mchem, porostami i różnymi gatunkami traw tundra rozmarzała zaledwie do głębokości jednego metra. Ucieczka stamtąd nie była możliwa.

– Pracowaliśmy tam bardzo ciężko przy budowie lotniska wojskowego oraz utrzymaniu obozu – mówi Lasocki. – Powoli traciliśmy siły, a głód prześladował nas w dzień i w nocy. Ale i tak mieliśmy szczęście, że trafiliśmy na lato. Zdążyliśmy się stamtąd wyrwać akurat przed zimą, czyli przed lodami, wichrami i mrozami, których nie wytrzymał tam prawie nikt.

Nocą, 6 lipca 1941 r., sowiecki kapitan politruk zawiadomił wszystkich łagrowników o wszczęciu przez Hitlera wojny ze Związkiem Radzieckim. Uśmiechał się do nich życzliwie, że są teraz sojusznikami w wojnie z germańskim wrogiem. Mówił, że większa wydajność ich pracy przyczyni się do szybszego zwycięstwa...

Wybuchowi wojny niemiecko-sowieckiej zawdzięcza uratowanie życia. Zza drutów tego łagru wyszedł z kolegami 11 lipca 1941 r. Na ich miejsce sprowadzono katorżników z obozu w Murmańsku. Wiadomo było, że są oni skazani na lodową śmierć.

Piątym z kolei obozem, do którego Wiesław przyплыł statkiem „Ałdana” (do archangielskiego portu drzewnego) i dalej odrutowanym, zapieczętowanym wagonem towarowym, był jużskij łagier w miejscowości Talica pod Wiaznikami (100 kilometrów od miasta Gorkij).

– Wielu z nas, jak wysiadło w Wiaznikach, to od razu zemdlalo lub straciło przytomność – pamięta. – Po dwóch tygodniach niemiłosiernie trudnej podróży powitał nas tam straszny upał. Mieliliśmy na sobie ciężkie watowane ubrania, które nosiliśmy na dalekiej północy i jechaliśmy niemal bez picia. Kiedy pozwolono nam wreszcie nasycić się wodą z miejscowej rzeki Kłazmy, omal nie osuszyliśmy tego prawego dopływu Oki – śmieje się.

W jużskim łagrze znajdowało się już ponad 10 tys. polskich jeńców. Transport Lasockiego przebywał tam sześć tygodni. Przypomina, że wykonywali tylko prace niezbędne do funkcjonowania życia zbiorowego w obozie; pamięta także straszny głód. Spowodował on bunt żołnierzy przeciwko kucharzom, który potem nieco poprawił wikt. Jak pisze w swych wspomnieniach, głęboko mu też utkwił dzień 15 sierpnia. Po raz pierwszy od opuszczenia Litwy, czyli od dwóch lat, Polacy zebrali się tam na wspólną uroczystą modlitwę dla uczczenia święta Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny oraz Święta Żołnierza.

W tym obozie komendant poinformował ich o zawarciu 14 sierpnia 1941 r. polsko-sowieckiej umowy, na mocy której na terenie Związku Radzieckiego miała powstać polska armia pod dowództwem gen. Władysława Andersa. Kilka tygodni wcześniej powiadomiono jeńców o podpisaniu 30 lipca umowy polsko-sowieckiej, m.in. o unieważnieniu linii demarkacyjnych z Niemcami w Polsce i o utrzymaniu w mocy traktatu ryskiego z 1921 r.

– Dla większości z nas był to zawód, że przyjdzie nam zostać w Sowietach i walczyć przy ich boku. Nie-

którzy się jednak cieszyli, że „Ruskie muszą się teraz z Polakami liczyć”. Pozostała jednak nieufność do nowego sojusznika, którego zdążyliśmy poznać jako kata.

Jużskij łagier Wiesław opuścił 4 września 1941 r. Najpierw koleją, potem statkiem, i znowu koleją.

– W tej podróży na południe Rosji już nie cierpieliśmy z powodu głodu, otrzymywaliśmy regularne posiłki w kolejowych stołówkach. Na przystankach coraz częściej słyszeliśmy polską mowę, stosunek ludności do nas był przyjazny.

Wysiedli na małej stacyjce Tatiszczew (45 km od Saratowa nad Wołgą) i pomaszerowali dwa kilometry do obozu. Organizowała się tam 5 Dywizja Piechoty, nosząca później, w 2 Korpusie, nazwę „Kresowej”. Dowódcą jej był gen. Mieczysław Boruta-Spiechowicz. Wiesław otrzymał przydział do jednego z jej oddziałów: zwiadu konnego.

W polskiej armii w Sowietach

W okolicach Tatiszczewa pamięta rozległe puste pola, czyli nadwołżańskie stepy, także gorące dni, ale zimne gwiazdziste noce. Opowiada, że ćwiczebny obóz, gdzie codziennie wciągano uroczyście na wysoki maszt wielką białą-czerwoną flagę, był urządzony sprytnie. Mieszkali w okopanych ziemią namiotach, które tuż przed nadejściem mrozów polewało się wodą. W ten sposób tworzyło się swoiste igloo. Jego pułk stacjonował w nadwołżańskich stepach cztery miesiące: od połowy września 1941 r. do połowy stycznia 1942 r.

– Był to wreszcie czas sytości. Oprócz jedzenia z

kotła, każdy za żołd mógł też kupić produkty żywnościowe w sąsiednich kołchozach i miasteczkach. Jedliśmy twaróg, masło, miód, melony, kawony. Był dostatek – opowiada.

Z gorących zapisków Wiesława; poniedziałek, 15 września 1941 r.:

„Przyjechał do nas dowódca Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR, gen. Władysław Anders. Dokonując przeglądu patrzył w oczy żołnierzom, jakby chciał się przekonać czy można na nas liczyć. Wyglądał bardzo mizernie, podpierał się laską. Musiał wiele wycierpieć w sowieckich więzieniach. Towarzyszący mu generał Zygmunt Bohusz-Szyszko ciekawie opowiadał o waleczności naszych oddziałów we Francji i w Norwegii (pod Narwikiem) oraz o szacunku, jakim cieszy się polski żołnierz na Zachodzie. Dowiedzieliśmy się od niego o śmierci Ignacego Paderewskiego i o podaniu się do dymisji dwóch ministrów polskiego rządu w Londynie, którzy uważali, że umowa Sikorski-Majski niedostatecznie gwarantuje całość naszych ziem. Dowiedzieliśmy się też o wspianym ruchu oporu ludności w Polsce; mimo strasznego terroru hitlerowskiego w kraju wychodzi 126 nielegalnych pism!”

W książce swej odnotował obrazy z życia obozu, nadwożańskich kołchozów, funkcjonowania ówczesnych sowieckich miast, szkolenia żołnierzy, uzbrajania ich dywizji.

„Nasza dywizja jest jedyną prawie już uzbrojoną wielką polską jednostką w Związku Sowieckim - pisze 30 września 1941 r. – Mamy już ręczne i maszynowe karabiny, armaty i haubice, działka przeciwlotnicze i przeciwpancerne; komisje przyjmują konie wojskowe. Cały

sprzęt jest oczywiście typu sowieckiego. Wozy taborowe, samochody ciężarowe i traktory z przyczepami zwożą też do obozu mąkę, krupę, mięso”.

Interesująco również przedstawia wizytę wodza naczelnego i premiera RP Władysława Sikorskiego w ich obozie. Trwała ona siedem godzin, 15 grudnia 1941 r. Była defilada, przegląd kwater, obiad żołnierski, akademii. I wielka obustronna radość z istnienia polskiej 5 Dywizji Piechoty, że nagle naczelnego wodza podrzucono na rękach do góry krzycząc: „Pan generał niech żyje!” (co wzbudziło konsternację osób mu towarzyszących z krajów sprzymierzonych). Wiesław otrzymał wtedy pierwszą gwiazdkę. Znalazł się w grupie jedenastu podchorążych kawalerii, których wódz naczelny mianował podporucznikami.

W swej książce o tej wizycie:

„Co za ironia losu! Mołotow, który nazwał Polskę „bękartem traktatu wersalskiego” podjął teraz polskiego premiera i naczelnego wodza bankietem! Nie gorszymy się jednak, że generał Sikorski przyjął na ten bankiet zaproszenie od tych, którzy we wrześniu 1939 r. wbili nam nóż w plecy. Doskonale rozumiemy Generała, bo mamy nadzieję, że jego przyjazd wpłynie na losy milionów Polaków wywiezionych na katorgi w Związku Sowieckim.”

– Z wielką radością przyjęliśmy też ukazanie się 7 grudnia 1941 r. dwóch polskich tygodników: „Polska” (redagowany przez Ksawerego Prószyńskiego) i „Orzeł Biały” (powołany w Buzułuku przez gen. Andersa). Miały one dla nas – żołnierzy polskich ocalonych z łagrów i więzień sowieckich, którzy szliśmy do wolnej Polski z bronią w ręku – ogromne znaczenie – przekonuje.

Kawalerzyści, po zdaniu koni artylerzystom, otrzymali nagle rozkaz opuszczenia 5 Dywizji, 15 stycznia 1942 r. Znowu czekały na nich towarowe ośnieżone wagony i bezkresne puste przestrzenie, które tym razem ożywiały jedynie dwugarbne wielbłądy. Najpierw w mrozy, które sięgały minus 44 stopni, a potem niemal w wiosenną pogodę dojechali po prawie dwóch tygodniach, 26 stycznia 1942 r., aż na Daleki Wschód – pod granicę chińską, do Otaru, niedaleko Alma-Aty w Kazachstanie.

Ciekawe, że kiedy zwrócili się tam – po zatrzymaniu w ośrodku szkoleniowym – do miejscowej nauczycielki z prośbą o przekazanie żołnierzom informacji o tym azjatyckim kraju, odesłała ciekawskich polskich żołnierzy do miejscowego sekretarza partii komunistycznej, usprawiedliwiając się, że im nie wolno kontaktować się z Polakami. Z kolei sekretarz musiał uzyskać na to zgodę od odpowiedniego wydziału partii w... Moskwie.

– Informatorem okazał się dopiero Kazach zajmujący się handlem wina, gdyż z książek o Republice Kazachstańskiej komuniści usunęli wszystko oprócz obszaru, ustroju i liczby mieszkańców – śmieje się.

Ćwiczenia na rozległym stepie, gdy wróciły ok. 30-stopniowe mrozy, odbywał tam prawie miesiąc, czyli do 20 marca 1942 r. Do Otaru dobiły do nich m.in. dywizyjny kawalerii 7 Dywizji Piechoty i 1 Pułku Ułanów Krechowieckich. Wzruszające, że nawet tam, zimą, w polu pod gołym niebem zbudowano pomiędzy namiotami ołtarz, gdzie w każdą niedzielę odprawiana była msza św. Datkami na tacę z tych nabożeństw, a także częścią swoich posiłków żołnierze polscy dzielili się dwa razy w tygodniu z polskimi kobietami i dziećmi znajdującymi się w podgórskich i górskich kazachskich posesjach.

Żyli oni w tamtejszych obozach pracy w nieludzkich warunkach.

– Ważnym wydarzeniem było dla nas orędzie prezydenta Stanów Zjednoczonych do narodu polskiego z 26 stycznia 1942 r. – pamięta Wiesław Lasocki. – Prezydent podkreślał w nim męstwo naszego narodu w tej wojnie i zapewniał, że po zwycięstwie Stany Zjednoczone przyjdą nam z pomocą materialną i moralną. Przemówienie swe, nadane przez wszystkie radiostacje amerykańskie i brytyjskie, kończył m.in. słowami: „Polacy! Z wojny tej wyjdziecie wolni, wolni na zawsze. Z Bożą i ludzką pomocą zagoicie straszliwe rany zadane wam przez wroga i odbudujecie wasz kraj tak, aby był piękniejszy i szczęśliwszy niż kiedykolwiek, i będziecie w nim mogli wieść dostatnie i uczciwe życie”.

Większość ułanów z pułku, wśród nich Wiesław Lasocki, zgłosiła w Otaru chęć przejścia do broni pancernej. Na pierwszy kurs oficerów broni pancernej „pancerniacy” wyjechali do Persji 22 marca 1942 r. Żegnał ich cały europejski Otar.

Podczas długiej podróży do Persji na Dalekim Wschodzie spotykali ciągle polską ludność cywilną, szczególnie kobiety z dziećmi; koczujących, wynędzniałych i głodnych, przerażonych przyszłością. – Dzieliłiśmy się z nimi prowiantem, pocieszając, że generał Anders na pewno ich nie zostawi. Że wyjadą z tego piekła z resztą wojska... – wspomina.

Podróż pociągami, m.in. przez Kirgizję, Uzbekistan, Tadżykistan i miasta: Taszkient, Samarkandę, Aszchabad (stolicę Turkmenii), potem z Krasnowodska przez Morze Kaspijskie statkiem „Profintern”, kilku tysięcy polskich żołnierzy, zakończyła się w Wielki Piątek, 3 kwietnia 1942 r.

– Niektórzy żołnierze nie mogąc doczekać się znalezienia na wolnej ziemi, z dala od Sowietów, skakali do wody już z barek, które przewożyły nas na ląd ze statku stojącego na redzie – uśmiecha się Lasocki.

W 2 Korpusie na Bliskim Wschodzie

Na tym wybrzeżu zaskoczył ich normalny świat: ładne ulice i wille, drogie samochody i jachty, czystość, wspaniała roślinność, pełne sklepy, łagodny klimat. Najpierw odczytano im rozkaz dowódcy Polskich Sił Zbrojnych na Środkowym Wschodzie, gen. Zająca: „Generał wita i życzy szybkiego wyszkolenia przed czekającym nas dołączeniem do Brygady Karpackiej gen. Kopańskiego (...)”.

W Pahlevi Wiesław i inni pancerniacy z tego kursu przebywali tylko niecałe dwa tygodnie. 15 kwietnia 1942 r. wyruszyli ciężarówkami do Teheranu, stamtąd po pięciu dniach wyjechali pociągiem na południe Persji, do Ahwaz.

Mówi o kilku dniach spędzonych w Ahwaz:

– W mieście tym zgromadzono już kilka tysięcy polskich żołnierzy, którzy oczekiwali na dalszy transport morzem. Jest to jedno z najgorętszych miejsc w tamtej części świata. Termometry wskazywały wówczas 50 stopni Celsjusza w cieniu! Przestrzegano nas przed kąpielą w miejscowej rzece Karun ze względu na rekiny, ryby-piły i ameby śmiertelnie atakujące wątrobę. Koledzy, którzy zwiedzili dzielnicę luksusowych domów publicznych opowiadali, że za murami są baseny z pływającymi dziewczętami, które klienci mogą sami wyławiać z wody...

27 kwietnia 1942 r. luksusowym statkiem królowej holenderskiej „Johan de Witt” wypłynęli w Morze Arabskie, dobijając 6 maja do Adenu. Miasto to leży na styku mórz Arabskiego i Czerwonego i też należy do bardzo gorących; tu termometr w cieniu wskazywał 35 stopni Celsjusza.

– Ale już po kilku godzinach wyszliśmy znowu w morze, piąte z kolei w moich wojennych wędrówkach. Po morzach: Barentsa, Białym, Kaspijskim, Arabskim, wypłynęliśmy w Morze Czerwone – opowiada. – Usłyszeliśmy w komunikatach, że Niemcy zgromadzili 2 miliony żołnierzy i przygotowują się do wielkiej batalii. Zastanawialiśmy się jaka część tej olbrzymiej armii stacjonuje w Polsce i co musi teraz przeżywać nasz naród...

W podróży tej przeszedł jeszcze przez obóz przejściowy w egipskim Suezie (czysty, wygodny, prace porządkowe wykonywali Włosi twierdzący uparcie, że wojnę tę wygra koalicja Hitlera i Mussoliniego); zaś kurs oficerów broni pancernej odbywał się w Palestynie, 30 km od Gazy, w obozie „Hill 66”.

Jest zachwycony Palestyną:

– Wydała się nam rzeczywiście ziemią obiecaną; podziwialiśmy wspaniałe zabytki, pola uprawne, gaje cytrusowe, nawet wędrujący Beduini wyglądali tam dostatnio. Miejscowa ludność żydowska była dla nas bardzo życzliwa i podobnie jak my tęskniła za „starym krajem”. Dużą radość sprawiał nam widok mijanych samochodów wojskowych: brytyjskich, australijskich, hinduskich, a szczególnie naszej Brygady Karpackiej, wstawionej już w bojach w Tobruku i na Zachodniej Pustyni.

O stosunkach z aliantami mówi, że były różne. Z

Anglikami raczej chłodne, lepsze z Kanadyjczykami i Hindusami, a najserdeczniejsze z Australijczykami, którzy po wypiciu paru głębszych powtarzali, że po wojnie musi być wspólna granica Polski i Australii.

Szkolił się też w Cowley pod Kairem (niedaleko piramid), na gorących pustyniach w Egipcie i pod upalną Basrą. Wszyscy cały czas pilnie śledzili przebieg wojny. Wiedzieli wówczas np., że 20 czerwca 1942 r. padła Bardia, 21 czerwca – Tobruk; wojska niemieckie zbliżały się do granicy egipskiej, a nasz Pułk Ułanów Karpackich objął trudny odcinek obronny między mostami na Nilu...

Opowiada, że wycieńczone pobytem w Rosji organizmy żołnierzy nie wytrzymywały wysokich temperatur. Codziennie umierało kilka osób na malarię, czerwone, gorączkę tropikalną. On też na początku października 1942 r. trafił do irackiego szpitala, gdzie leczony był przez dwa tygodnie.

Pamięta jednak:

– Nasza brygada pancerna otrzymywała coraz więcej sprzętu i stawała się nowoczesną wielką jednostką pancerną. Ćwiczenia na pustyni ożywiały nam występy polskich artystów, spotkania z „Pestkami” (z Pomocniczej Służby Kobiet), wycieczki po okolicy, urlopy, np. jeden wolny tydzień spędziłem w Bagdadzie.

Kurs pancerny ukończył w grudniu 1942 r. w Iraku. Na kilka dni przed Bożym Narodzeniem otrzymał imienny rozkaz, że ma się zgłosić do powstającego w 2 Korpusie – 15 Pułku Ułanów Poznańskich pod dowództwem rotmistrza Zbigniewa Kiedacza (był on wówczas pułkiem pancerno-motorowym, nie konnym). I znów porucznik Wiesław przeszedł mnóstwo ćwiczeń i manewrów

w Iraku, Syrii, Egipcie, Libanie, Palestynie, w górach i na pustyniach; jako dowódca plutonu. Upalny pustynny klimat żołnierze znosili coraz gorzej.

– Miałem wrażenie, że nasza armia zaczyna coraz bardziej topnieć – opowiada. – Organizmy wyniszczone ciężkimi warunkami życia w łagrach i więzieniach sowieckich nie były wystarczająco odporne na trudne warunki klimatu pustynnego. Wycieńczeni ułani byli przygnębieni i rozdrażnieni, bardzo wielu chorowało na malarię i choroby serca, poza zgonami zdarzały się coraz częściej samobójstwa.

Z książki „Przez tundrę i pustynie”:

„Nachodziły nas często okresy wielkiego przygnębienia spowodowane też wiadomościami z Polski. W miarę postępów Armii Czerwonej na froncie rząd sowiecki stawał się coraz bardziej agresywny i bezczelny w stosunku do Polski. Przewidywaliśmy wtedy, że czerwona szarańcza ruszy w ślady swej armii i zajmie polskie ziemie. Jeden z kolegów, Romuald Kobecki, wyraził nawet cyniczną w swej gorzkości opinię, że my, żołnierze, jesteśmy uprzywilejowani, bo walcząc będziemy mieli szanse zginąć nie doczekawszy tragicznego zakończenia wojny. Zdarzały się tragedie, np. mocno byliśmy wstrząśnięci samobójstwem podporucznika Kazika L., który 12 lutego 1943 r. strzelił sobie prosto w serce...”

2 marca 1943 r. Wiesław odnotował:

„Rząd polski otrzymał odpowiedź na swoją notę, wyrażając zgodę na współpracę ze Związkiem Radzieckim pod warunkiem uznania polskich granic wschodnich. Ton noty polskiej był spokojny, prawie przyjazny, wykazujący maksimum dobrej woli. Treść odpowiedzi sowieckiej była mniej więcej następująca: „Polska żądając

granic sprzed 1939 r. daje wyraz swym żądaniom imperialistycznym. Ziemie, których żąda należą do narodów ukraińskiego i białoruskiego. Zamiast dążyć do współpracy z bratnimi narodami sowieckimi Polska stara się rozbić tę jedność, czym może przyczynić się do osłabienia, a nawet rozbitcia współpracy aliantów i wzmocnienia Niemiec”.

I 5 lipca 1943 r.:

„O godz. czwartej po południu (irackiego czasu) radio londyńskie podało oficjalną wiadomość o śmierci gen. Władysława Sikorskiego w Gibraltarze, w wyniku katastrofy samolotu, którym wracał do Londynu. Wiadomość ta wywarła na nas wielkie, przygnębiające wrażenie”.

Z Egiptu pod Monte Cassino

Przez cały styczeń i połowę lutego 1944 r. 15 Pułk Ułanów Poznańskich uzupełniał w egipskim obozie Qassassin swe wyposażenie, m.in. w amerykańskie i kanadyjskie samochody pancerne, caryersy, moździerz i działa.

– Przygotowywaliśmy się na front; najpierw mieliśmy walczyć pod Monte Cassino, które w Egipcie porównywano do bitwy pod Verdun - opowiada mój bohater. – Wiedzieliśmy, że Niemcy korzystając tam z miejsca, gdzie Półwysep Apeniński zwęża się najbardziej, a wysokie i strome góry tworzą naturalną zaporę; zbudowali silne linie obronne, chcąc za wszelką cenę powstrzymać Sprzymierzonych i uniemożliwić im zajęcie Rzymu.

Dokładnie 16 lutego 1944 r. od wybrzeży Egiptu odbił do Włoch pierwszy rzut żołnierzy 15 Pułku Ułanów Poznańskich, na statku indyjskim „Dilwara”.

– Po latach wędrówek przez dalekie morza i lądy znowu wracaliśmy do Europy, tym razem pod osłoną brytyjskich niszczycieli - wzdycha z nostalgią Lasocki.
– Pamiętam lecące nad nami klucze wędrownych ptaków, m.in. bocianów, powracających do swych gniazd. Rozmyślaliśmy wtedy smętnie, kiedy my będziemy mogli powrócić do swych rodzin.

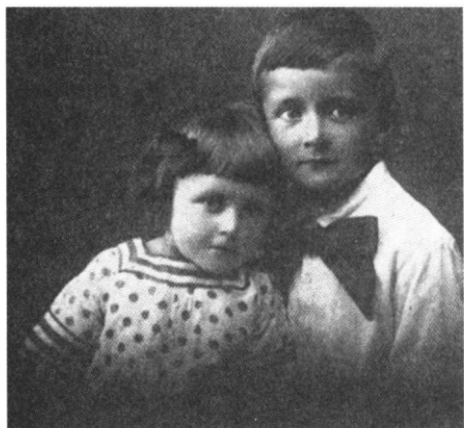
Po pięciu dniach dopłynęli do Taranta; w tym włoskim porcie zetknęli się z pierwszymi śladami wojny. Bitwy o Monte Cassino rozpoczęły się już 20 stycznia 1944 r. Pułk Lasockiego zaczął przemarsz w tym kierunku 23 marca: najpierw do Ciwitanovy, średniowiecznego pięknego miasteczka zagubionego w górach, a po dwóch tygodniach w pobliże zniszczonej wojną, położonej na oblodzonych skałach Capracotty, gdzie spędzili Wielkanoc. Widzieli stamtąd dalsze ośnieżone pasma gór zajęte przez Niemców. Lasocki pamięta też, że 18 kwietnia odwiedziło ich tam dwóch generałów: Władysław Anders (dowódca 2 Korpusu) i Nikodem Sulik (dowódca 5 Kresowej Dywizji Piechoty).

– W tej wielkiej Bitwie Narodów krwawo walczyli już Amerykanie, Brytyjczycy, Francuzi, Nowozelandczycy, Hindusi i Gurkowie – wspomina Lasocki. – 2 Korpus miał wejść w decydującą fazę bitwy o Monte Cassino 3 maja, w święto Matki Boskiej Królowej Polski. Wierzyliśmy, a może tylko się łudziliśmy, że czekający nas bój w piątym roku tej strasznej wojny wpłynie na losy naszej Ojczyzny.

Niemcy rozrzucali wtedy ulotki pisząc w nich m.in.:



Celina z Zakrzewskich i Ludomir Jakub Lasoccy, rodzice Wiesława, wkrótce po ślubie



Wiesław Lasocki z siostrą Ireną, 1918 r.



Wiesław Lasocki, 1936 r.



Jako oficer 15 Pulku Ulanów Poznańskich 2 Korpusu. Włochy 1944 r.



Z żoną Tamarą po ślubie. Londyn, wrzesień 1945 r.



W fabryce przy tokarce, Londyn



Syn Ludomir Jerzy Lasocki w wieku 6 miesięcy...



...i jako zuch gromady „Kosynierów”



Tamara i Wiesław Lasoccy. Londyn, 1976 r.



W towarzystwie Lecha Wałęsy w Instytucie Polskim i Muzeum im. Gen. Sikorskiego. Londyn, 1991 r.



Tamara i Wiesław Lasoccy z synem Ludkiem i wnukami. Londyn, Boże Narodzenie 1995 r.



Tamara i Wiesław Lasoccy w swoim domu. Londyn, kwiecień 1996 r.



...i z Bolesławem Kuźmińskim (z prawej) i Józefem Mossakowskim w swoim domu. Londyn, kwiecień 1996 r.



Tamara Lasocka z synem Ludkiem. Londyn, 1979 r.



Wiesław Lasocki prezentuje papieżowi Janowi Pawłowi II swoją książkę

„Żołnierze polscy! (...) Przed kilku laty Stalin wysłał ekipę morderców, aby zlikwidować w Katyniu waszych kolegów. Ale Anglicy są sprytniejsi. Wysyłają was na front Cassina, abyście mogli polec w aureoli bohaterstwa.” (Z książki „Przez tundrę i pustynie”)

Porucznik Lasocki otrzymał pod Monte Cassino zadanie zaopatrywania swego pułku w amunicję, wodę i żywność. Była to egzotyczna służba w historii polskiego wojska, którą drobiazgowo opisał, jako jedyny w batalistycznej literaturze polskiej, na łamach swej książki. Na grzbietach mułów, prowadzonych w śmiertelnej ciszy przez żołnierzy cypryjskich, tzw. mulników, pod czujnym okiem Lasockiego dostarczano walczącym w ciemną noc prowiant i broń; utrzymując dzięki temu gotowość bojową pierwszej linii. Junacze, wytrwałe muły świetnie zdawały egzamin na stromych i śliskich ścieżkach górskich, dzięki swym mocnym i czepliwym jak muflony kopytom.

Porównuje:

– Zadanie to było trudne i niebezpieczne, choć z pewnością nie tak jak w pierwszej linii walczących.

Młody porucznik pamięta do dziś następujący obraz: w wąwozie, w którym szła kolumna objuczonych mułów, mulników i ułanów, wśród gwiżdżących nad głowami pocisków, śpiewał namiętnie słowik, jakby chcąc zagłuszyć odgłosy wojny. Jego koncert trwał, pomimo iż chwilę wcześniej, tuż przed ich zaopatrzeniową karawaną rozerwał się pocisk artyleryjski...

„Było wiele godzin, kiedy płonęło całe niebo, trząsł się wąwóz, którym dostarczaliśmy zaopatrzenie walczącym, a Monte Cassino, pomimo niezwykłego męstwa polskiego żołnierza, wydawało się nie do zdobycia (...)”

– pisze w swych wspomnieniach. – „Dopiero 18 maja na gruzach klasztoru zawisła zwycięska polska flaga, a wieczorem 25 maja patrol z naszego 3 szwadronu zajął najwyższy szczyt Monte Cairo (1699 m n.p.m.). Był już koniec maja, kiedy żołnierze zaczęli schodzić z gór na odpoczynek. Również my po skończeniu służby, my ulani a także mulnicy, pożegnaliśmy jako wiernych towarzyszy wspólnych trudów”.

Rankiem 26 maja wyjechał gazikiem, aby obejrzeć ruiny sławnego i tragicznego klasztoru. Po raz pierwszy obejrzał też okolice i drogi, którymi co noc wędrował z jucznymi mułami. Uprzytomnił sobie wtedy, że miał wielkie szczęście. Całe konwoje musiały być przez Niemców z gór doskonale widoczne...

„Żołnierze zbierali do sanitarek wszechobecne trupy (...)” - cytuję jego wspomnienia. „Czarne spalone drzewa wyciągały kikuty bezlistnych, zupełnie gołych i potrzaskanych gałęzi i konarów. Z całej wspaniałości najstarszego w zachodnim chrześcijaństwie kościoła pozostały gruzy. Pod nimi znalazłem marmurowy posąg Matki Boskiej – bez głowy – i przepiękny krucyfiks z kości słoniowej. (...). W pobliżu dawnej biblioteki stały dwa ocalale, pokryte kurzem i wapnem pianina.

– Zagraj pan coś fajnego - zaproponował jeden z żołnierzy stojących obok mnie. Wystukałem jednym palcem „Jeszcze Polska nie zginęła”... Twarze otaczających mnie żołnierzy spoważniały, stężały i stały się jak twarze posągów. Pomyślałem, że zwycięstwo to, choć kosztowało nas drogo: 924 poległych, 2930 rannych, 345 zaginionych, dać powinno mocny oręż do rąk politykom w walce o prawdziwą wolność Polski i o całość jej terytorium”.

Zdobywanie Ankony i inne zwycięstwa

Wraz z 5 Kresową Dywizją Piechoty pułk Lasockiego wszedł w skład lewego skrzydła 2 Korpusu, który miał zająć ważny adriatycki port – Ankonę. Ciechanowianin pełnił wówczas funkcję zastępcy dowódcy trzeciego szwadronu zwanego ciężkim.

– Musieliśmy od tyłu zająć ten port, aby wykurzyć Niemców – opowiada dziarsko mój londyński rozmówca, który jednak został wówczas ranny.

Samochód pancerny „Fox”, którym jechał 22 czerwca, stracił w górach równowagę i stoczył się po stromym, błotnistym zboczu. Lasocki miał złamanych osiem żeber i zgniecione mięśnie ud. Trafił do szpitala w Palagiano, aż na południu Włoch.

Do swego pułku wrócił po miesiącu, jeszcze o lasce, w lipcu 1944 r., kiedy żołnierze akurat odpoczywali po walkach w Molino. Gdy Wiesław lizał rany, jego koledzy zdążyli stoczyć we Włoszech kilka ciężkich bitew. Wielu zginęło, byli ranni.

W Polsce też w tym czasie toczyły się walki. Pancerniacy rejestrowali: bolszewicy podeszli pod Warszawę, Stalin stworzył w Chełmie Lubelskim czerwony polski rząd, ogłoszono zmiany terytorium i ustroju. Wiesław tłumaczy, że trudno było żołnierzom 2 Korpusu (wielu pochodziło z kresów) – po pięciu latach wojny, walk i cierpień – rzec się na rzecz „sojusznika naszych sojuszników” połowy Polski!

– Mieliśmy nadzieję, że Wielka Brytania i Stany Zjednoczone zdadzą sobie w końcu sprawę z rosnącego imperializmu sowieckiego. Ale czy zechcą po skończeniu wojny przeciwstawić się Sowietom? Było to co naj-

mniej wątpliwe... – rozmyślał Lasocki w wolnych chwilach, które spędzał nad lekturą książeczki „Z życia owadów”, znalezionej w ruinach biblioteki Monte Cassino. Inni ułani przerwy pomiędzy bitwami spędzali różnie: spotykali się z włoskimi dziewczętami, rozmawiali o przeszłości i domu rodzinnym, wylegiwali się w cieniu drzew.

Wszyscy przeżyli prawdziwy dramat, gdy radio doniosło o wybuchu powstania w Warszawie.

– Nagle przestała dla nas istnieć przestrzeń – wyznaje Lasocki. – Wydało nam się, że jesteśmy razem z krwawiącą, walczącą Warszawą...

Porucznik Lasocki brał udział jeszcze w kilku zwycięskich bitwach nad Adriatykiem, nad rzeką Metauro, na linii Gotów.

– Odnosząc tam zwycięstwa doznawaliśmy wspaniałego uczucia rewanżu na Niemcach za klęski poniesione w 1939 r. – mówi. – Jednak wielu z nas bardziej chciało pomóc walczącej samotnie Warszawie, twierdząc, że na próżno się krwawimy na obcej, coraz mniej dla nas przyjaznej ziemi.

Wolnej Polski nie ma...

W październiku 1944 r. pułk Lasockiego utkwiał w Apeninach. Tam, na minach pod Civitella di Romagna, 23 października 1944 r. stracił też swego dowódcę, już siódmego z kolei w tej wojnie. Zginął podpułkownik Zbigniew Stanisław Kiedacz, jeden z najzdolniejszych oficerów na obczyźnie. „Ale pułk musi iść dalej ku wolnej Polsce, o której zawsze śnił podpułkownik Kie-

dacz” – powiedział gen. Władysław Anders na jego pogrzebie.

– Śmierć naszego dowódcy, cofnięcie uznania legalnemu rządowi polskiemu przez mocarstwa, tragiczny upadek Powstania Warszawskiego oraz zniszczenie stolicy przynębiły nas doszczętnie – pamięta Lasocki.

W tych nastrojach ułani przeżyli jeszcze podział swego zasłużonego 15 Pułku Ułanów Poznańskich. Lasocki został w Italii – w utworzonym 25 Pułku Ułanów Wielkopolskich, rozstając się w ten sposób w połowę towarzyszy z 15 Pułku, którzy zostali przetransportowani do Egiptu na szkolenia na czołgach. Okres w Italii wspomina jednak mile.

– We Włoszech nie zawsze lała się krew, często i obficie płynęło wino, a serdeczne stosunki z miejscową ludnością oraz zawarte znajomości z czarnookimi signorinami dawały wiele chwil przyjemnych – przyznaje. – Wielka gorycz przepełniła jednak nasze serca po konferencji jałtańskiej.

Z przemówienia gen. Władysława Andersa jako naczelnego wodza Polskich Sił Zbrojnych, 27 lutego:

„(...) Dzięki Tobie, żołnierzu polski, wypełniliśmy dobrze wobec Ojczyzny i aliantów wszystkie nasze obowiązki. Pierwsi chwyciliśmy za broń 1 września 1939 r., samotnie przeciwstawiając się potędze niemieckiej. Walczyliśmy w Lotaryngii i Alzacji, pod Narwikiem, w Tobruku, pod Monte Cassino, w Ankonie, na linii Gotów i w historycznej bitwie o Wielką Brytanię. Walczyliśmy cały czas, na lądzie, na morzach i w powietrzu. Dziś, ze sztandarami okrytymi chwałą stajemy w obliczu największej tragedii naszego narodu (...).”

I z „Deklaracji Żołnierzy 2 Korpusu”, wydanej 15 czerwca 1946 r., podpisanej przez gen. Andersa:

„Cele wojny nie zostały osiągnięte, wolnej Polski nie ma. Jako wojsko suwerennej RP składamy wobec Boga, naszych sztandarów oraz grobów naszych poległych kolegów ślubowanie: Zespoleni z dążeniami całego narodu, tak w Kraju jak i na obczyźnie, ślubujemy trwać nadal w walce o wolność Polski, bez względu na warunki, w których przyjdzie nam żyć i działać”.

– Z Włoch, konkretnie z Werony, wyjechaliśmy 18 września 1946 r. na demobilizację do Anglii kolejną; w sumie po dwóch i pół latach - mówi Wiesław Lasocki. – Z kontynentem pożegnaliśmy się 23 września 1946 r., wsiadając na statek w Calais. Wracalem bez uczucia triumfu, tak naprawdę nie czuliśmy się zwycięzcami.

W zielonej i niezbyt przyjaznej Anglii

Anglia zrobiła na Lasockim wrażenie kraju przedziwnie zielonego (był koniec września), z biało-czerwonymi krowami i ciężkimi końmi na rozległych, lekko pofalowanych łąkach i pastwiskach. Trafił do doskonale wyposażonego obozu w Grimsditch na Równinie Salisburskiej. Opowiada, że żołnierze nie czuli się tam jednak dobrze. Byli zdenerwowani, przygnębieni niepewnością jutra.

- Nie wiedzieliśmy jaką powziąć decyzję: czy wrócić do Polski, czy emigrować do innego kraju (np. Stanów Zjednoczonych, Argentyny, Brazylii, Kanady, Australii), czy pozostać w Wielkiej Brytanii. W Polsce srożył się coraz większy terror i prześladowania „andersowców”, w nieznanych krajach trzeba było zaczynać od ciężkiej pracy na roli lub w fabrykach. „Sprawa Polski”

nie wyglądała też dobrze na Wyspach: prasa złośliwie pisała o polskich żołnierzach, że są bardzo kosztowni dla brytyjskiego podatnika, bo zajmują się tylko „salutowaniem i czyszczeniem sprzączek przy mundurach”. Urzędy pośrednictwa pracy kierowały polskich oficerów i żołnierzy do najcięższych robót, które przedtem wykonywali jeńcy niemieccy.

Lasocki zdecydował się pozostać w Wielkiej Brytanii. Przynajmniej przez pewien czas, „żeby być bliżej Polski”. Twierdzi, że polskie władze emigracyjne i wojskowe były przekonane, iż wkrótce rozpocznie się wojna państw zachodnich z Rosją Sowiecką.

Do 22 listopada 1946 r. w obozie Hursley pełnił jeszcze funkcję dowódcy kompanii żołnierzy powracających do Polski. Potem próbował studiów administracji na Uniwersytecie Edynburskim, przeznaczonych dla absolwentów wyższych uczelni, ale jego znajomość języka angielskiego była niewystarczająca. Dobrze zapamiętał z tego okresu, wysiadając na dworcu kolejowym w stolicy Szkocji, ogromny napis: „Less Poles - More Bread” (Mniej Polaków, więcej chleba).

– W Edynburgu, w styczniu 1947 r. otrzymałem przez Czerwony Krzyż, po pół roku od daty wysłania, list od swego brata Stacha, który doniósł mi, że jesienią 1946 r. zmarli nasi rodzice – jest tym do dziś wstrząśnięty. – Napisała też do mnie moja siostra Irka, że bardzo czekali na informacje od nas ze Stachem, aż serca ich nie wytrzymały...

Inne złe wydarzenia, które pamięta z ponad półrocznego pobytu w Edynburgu to śmierć prezydenta Władysława Raczkiewicza (8 czerwca 1947 r.) i odrzucenie przez Polskę (po naradzie z Moskwą) Planu Marshalla, czyli pomocy ekonomicznej z USA. Wiedział już wów-

czas definitywnie, że podział świata stał się wyraźny. „Żelazna kurtyna” zapadła na wiele lat.

Po zdemobilizowaniu się 5 września 1947 r. Lasocki wstąpił do Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia, w ramach którego ukończył kurs tokarzy metalowych.

– Miałem nadzieję, że dyplom tokarza ułatwi mi znalezienie pracy – tłumaczy. – Gorzko się jednak zawiodłem. W wyniku sprzeciwu potężnych brytyjskich związków zawodowych żaden zakład pracy nie mógł mnie przyjąć na robotnika wykwalifikowanego. Nie pomógł dyplom magistra praw Uniwersytetu Warszawskiego, który przysłano mi z Polski.

Żeby z czegoś żyć zatrudnił się jako robotnik niewykwalifikowany w fabryce wyrobów gumowych w Londynie. W ogromnej hali fabrycznej pracował przy potężnych prasach wycinających różne przedmioty. Płaca była niska, nadrabiał więc nadgodzinami. Wraz z kolegą wynajmowali wtedy niewielki pokój z jednym łóżkiem. Wiesław spał na materacu rozłożonym na pustych skrzynkach od pomarańczy. W dużym domu przy Penywern Road gnieździło się w podobnych warunkach wielu polskich oficerów.

Z tatarską księżniczką...

W tym czasie, na jednym z koncertów chopinowskich w Ognisku Polskim, poznał swoją przyszłą żonę. O ciemnookiej brunetce z piękną oliwkową cerą – Tamarze Tuhan-Barańskiej z Kowna mówiono wówczas w Londynie „tatarska księżniczka”. Rodzina jej wywodziła się bowiem z kaukaskich gór Dagestanu; jeden z pradzia-

dów Temir Tuhaj-bej przybył w XV wieku na Litwę i założył wieś Tuhanowicze (istniejącą do dziś na Nowogródczyźnie). Nazwisko Baranowski powstało prawdopodobnie z tłumaczenia na polski nazwiska jednego z rodów dagestańskich.

Przodkowie Tamary należeli do tzw. Tatarów hospodarskich, wywodzących się z wyższej szlachty i arystokracji ordyńskiej. Przed wojną ojciec Maciej sprzedał rodzinną posiadłość Adamańce i kupił duży dom w Kownie. W domu rodzinnym Tamary utrzymywane były tradycje muzułmańskie i polskie. Dzieci uczyły się w polskich szkołach, ale ojciecłożył na budowę i utrzymanie meczetu w Kownie.

– Po zajęciu Kowna przez Sowieców uciekliśmy przed wywiezieniem na Syberię do Wiednia – opowiada żona Lasockiego, wówczas już ze średnim wykształceniem i rokiem studiów uniwersyteckich. Do dziś pozostała oryginalnie piękna, inteligentna, z książeczą klasą. – Pod koniec wojny, wraz z grupą Polaków i Tatarów, m.in. pisarzem Józefem Mackiewiczem i Andrzejem Tyszkiewiczem, przedarliśmy się do Włoch i połączyliśmy z polskim 2 Korpusem.

Podczas któregoś lotniczego bombardowania Tamara została ciężko ranna w głowę. Po wyleczeniu w szpitalu w Mediolanie była w 2 Korpusie maszynistką w szóstym szpitalu polowym. Po demobilizacji zamieszkała w Londynie ze starszą siostrą i matką, pracując jako modystka kapeluszy.

Ślub Tamary i Wiesława odbył się 17 września 1949 r. w kościele Matki Boskiej Zwycięskiej na Kensingtonie (pomimo iż dzieliła ich różnica religii, bo Tamara jest muzułmanką). Musieli jednak zobowiązać się do wychowania potomstwa w zasadach religii katolickiej. Pobłó-

gosławił ich też potem papież podczas swej wizyty w Londynie w 1982 r.

– Po półtora roku pożycia Tamara oświadczyła mi, że spodziewa się dziecka – przypomina z uśmiechem Lasocki. – Ucieszyłem się, ale i zatroskałem jednocześnie, bo młode małżeństwo z niemowlęciem miało wówczas nikłe szanse na znalezienie mieszkania. Podjęliśmy więc śmiałą decyzję kupienia domu.

To ambitne zamierzenie zrealizowali do spółki z pułkowym kolegą Jankiem Lalko, a także dzięki kredytom i niewielkim oszczędnościom. W sześciopokojowym, prawie stuletnim domu przy 84 Taybridge Road, w południowo-zachodniej części Londynu na Clapham, 5 stycznia 1951 r. Janek zajął parter, zaś Lasoccy pierwsze i drugie piętro. Ich jedyny syn Ludomir Jerzy urodził się już w nim, 9 lutego 1951 r.

– Żeby móc spłacać pożyczkę i wysyłać paczki do mojej rodziny w Polsce, wynajmowaliśmy lokatorom jeszcze dwa pokoje – opowiada Lasocki. – Moja teściowa zajmowała pokój na pierwszym piętrze, nam pozostawał więc tylko pokój z kuchnią.

Stopniowo poprawiały się warunki bytowania Lasockich. Wiesław został przyjęty jako półwykwalifikowany tokarz do amerykańskiej fabryki CAV, a potem udało mu się zdobyć jeszcze lepiej płatną pracę w zakładzie produkującym pociski i bomby artyleryjskie.

W 1952 r. otrzymał stypendium na roczne studia w szkole handlu zagranicznego i administracji portowej (London School of Foreign Trade), którą pomyślnie ukończył. Po zdaniu egzaminów uzyskał posadę w londyńskim centrum handlowym, w firmie „Pacol Limited”. Zajmował się w niej operacjami giełdowymi oraz hand-

lem z całym światem takich towarów, jak ziarno kakao-
we, kawa, guma i niektóre metale.

– Była to praca odpowiedzialna, wymagająca wysiłku umysłowego, ale nieźle płatna – mówi. – Co roku otrzymywałem podwyżki, „bonusy” na Boże Narodzenie oraz zaproszenia na bale w luksusowym londyńskim hotelu „Savoy”. Pracowałem tam równo 25 lat, do emerytury, na którą przeszedłem w grudniu 1977 r.

Tamara Lasocka też zmieniła pracę.

– Zostałam bibliotekarką w jednej z londyńskich politechnik, w bibliotece specjalizującej się w językach obcych. Miałam pod opieką książki polskie i rosyjskie – zwierza się.

Z czasem spłacili pożyczkę i odkupili od Janka Lalko jego część domu. Lepsza sytuacja finansowa pozwoliła też na zapraszanie co roku członków rodziny Lasockich z Polski. Nadal jednak wynajmowali parter lokatorom.

Wiesław Andrzej Lasocki z Ciechanowa:

– Byłem w Londynie z rodziną kilkakrotnie. Zawsze Wiesław z Tamarą przyjmowali nas bardzo gościnnie, zwiedzali z nami Londyn i okolice. Wizyty te były dla nas wielką lekcją historii. Będąc u wuja w 1968 r. po raz pierwszy przeczytałem książkę o Andersie i przeżyłem szok. Potem długo z wujem dyskutowaliśmy. To wielki patriota!

Nie zatracić polskości

Wiesław (senior) trzykrotnie z synem Ludomirem i dwa razy z żoną odwiedził Polskę oraz swe rodzinne miasto. Większość urlopów spędzali jednak w Anglii oraz w basenie Morza Śródziemnego.

– Mój pierwszy przyjazd do Polski, prawie po ćwierćwieczu, był dla mnie wielkim przeżyciem – zwierza się Lasocki. – Przeżył go również 12-letni wówczas syn Ludek, który Polskę ujrzał po raz pierwszy, biedną i w ruinach. Muszę przyznać, że trudno było mi poznać Ciechanów – bez dorożek i niskich domów; cieszyłem się jednak z rozpoczętej renowacji Zamku. Nie mogłem się też znaleźć w Warszawie, mieście moich studenckich lat; musiał po niej oprowadzać mnie syn, z mapą miasta.

Podkreśla kilkakrotnie, że wybrał trudniejsze życie w Anglii, ale został dla określonych celów.

– Uważaliśmy tutaj, że uda nam się stworzyć polskie lobby, poprzez naciski na opinię światową. Nasza emigracja była uczciwa, niepodległościowa. Służyliśmy tu Ojczyźnie, choć już bez broni w rękę – zauważa.

Bardzo zależało mu na utrzymaniu polskości następnego pokolenia Polaków na obczyźnie. Społecznie, jako stary harcerz (członek ZHP również w Anglii), wychowywał w Londynie zuchów, pisał do dzieciennych i młodzieżowych pism. A potem zaczął tworzyć książki, głównie dla młodzieży. Pierwsza – „Zwierzęta i żołnierze” (1966 r.) opisywała zwierzęta, które spotkali polscy żołnierze podczas swych wojennych szlaków. Okazała się emigracyjnym bestsellerem. To zachęciło go do dalszej twórczości. Do tej pory wydał dzięki pomocy polskich organizacji i fundacji kilkanaście książek, m.in.: „Wojtek spod Monte Cassino” (1968 r.), „Żubr turysta” (1974 r.), „Kajakiem przez ziemie wschodnie Rzeczypospolitej” (1978 r., wręczył ją papieżowi), „Ali baba, malajski niedźwiedź” (1979 r.), „Lubek herbu obrączka” (1986 r.),

„Z ojczystej ziemi” (1989 r.), „Przez tundrę i pustynie” (1993 r.).

– Dużym powodzeniem cieszyło się opowiadanie „Żubr turysta”, wydane przez Stowarzyszenie Kombatantów Polskich, które w języku angielskim nadawane było czterokrotnie przez radio BBC – mówi Lasocki. – Najślawniejszy był jednak „Wojtek spod Monte Cassino”, którego treść o sławnym niedźwiedziu Wojtku, towarzyszu żołnierzy 2 Korpusu, miała aż trzy wydania w języku angielskim, dwa w norweskim i jedno w szwedzkim. Przedrukowywana była w odcinkach „Woman's Weekly”, piśmie o milionowym nakładzie, nadawana również przez radiostacje Południowej Afryki i wykorzystywana w programach BBC. Najpierw napisałem ją w języku polskim. W Kraju również wydano tę książeczkę przez tajną drukarnię, choć bardzo źle. Marzyłem, aby moje książki trafiały do Polski, ale odbywało się to tylko kanałami prywatnymi.

Wiesław Lasocki był też współredaktorem kwartalnika historycznego „Przegląd Kawalerii i Broni Pancernej”. Swe historyczne i wojskowe artykuły publikował też w „Tygodniku Polskim”, „Dzienniku Polskim”, „Wiadomościach”. Jest członkiem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie.

– Również w Radiu „Wolna Europa” nadałem ponad 500 swych dziesięciominutowych opowiadań. Wszystkie oparte na faktach. Mówiłem m.in. o Zamku Książąt Mazowieckich w Ciechanowie i o Opinogórze – dorzuca.

Jest laureatem dwóch nagród literackich: Stowarzyszenia Polskich Kombatantów oraz czytelników „Wiadomości” w Londynie. Natomiast za działalność na fron-

tach uhonorowano go m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Zasługi z Mieczami, Krzyżem Monte Cassino oraz wieloma innymi odznaczeniami polskimi i zagranicznymi.

Umacnianiu polskości służyło też, zdaniem wszystkich moich bohaterów, utrzymywanie więzów koleżeńskich w kołach oraz związkach pułkowych i batalionowych. Lasocki należał do kół byłych żołnierzy 15 Pułku Ułanów Poznańskich i 25 Pułku Ułanów Wielkopolskich.

Ważnymi dla polskiej emigracji żołnierskiej wydarzeniami były także obchody świąt narodowych. Brał w nich udział zawsze gen. Anders. Największa w Londynie sala, z szeregiem balkonów – „Royal Albert Hall”, zapelniała się wówczas do ostatniego miejsca żołnierzami i ich rodzinami. Generał w mundurze i z orderami na piersiach wchodził na scenę i pozdrowiał obecnych. Odpowiedź: „Czołem, panie generale!” brzmiała gromko i potężnie, prawdziwie po żołniersku. Potem generał dawał rozkaz wprowadzenia sztandarów.

– Przemarsz naszych bojowych sztandarów, w ciszy, tylko przy dźwiękach poloneza As-dur F. Chopina robił na nas zawsze wielkie wrażenie, wielu z nas nie wstydziło się łez – Lasocki wzrusza się. – Generał był świetnym mówcą, wodzem, naszym duchowym przywódcą na emigracji. Dlatego jego śmierć 12 maja 1970 r., czyli dokładnie w 26 rocznicę rozpoczęcia bitwy o Monte Cassino z udziałem 2 Korpusu, była dla wszystkich wielkim wstrząsem. Jego pogrzeb był wielką narodową manifestacją.

Z książki „Na wzburzonych falach życia” (Praca zbiorowa, Hobart - Tasmania, 1995 r.):

„Przed jego odkrytą trumną przemaszerowało ponad 8000 ludzi, oddając mu hold. W katedrze westminster-skiej w Londynie na mszy żałobnej zgromadziło się 5000 ludzi, bo tyle tylko mogła pomieścić ogromna świątynia. Obecni byli przedstawiciele państw, naszych wojennych sojuszników. Trębacze z królewskiej gwardii konnej odegrali ostatni capstrzyk.

Prasa całego świata pisała „o bohaterskim zwycięzcy spod Monte Cassino”. Ciało Generała spoczęło na cmentarzu pod Monte Cassino, wśród jego poległych żołnierzy.”

Generał Zygmunt Bohusz-Szyszko w wydawnictwie „Generał Anders” (Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie, 1989):

„(...) Gen. Anders od wyjścia z więzienia sowieckiego aż do zakończenia wojny był nie tylko dowódcą wojska, lecz również wybitnym przywódcą ludności, którą z granic Związku Sowieckiego wyprowadził. Pod jego wpływem i przy jego pomocy bujnie rozwijały się na Bliskim Wschodzie, a później we Włoszech, nasze szkoły powszechne i średnie, młodzieży ułatwiono naukę w uniwersytetach w Bejrucie, Rzymie, Florencji, teatry docierały do żołnierzy prawie na pierwsze linie frontu. Utwory żołnierzy – pisarzy i poetów – były drukowane w drukarni 2 Korpusu. Zapewniona została opieka nad dzieckiem i matką, powstały domy rekonwalescentów i domy wypoczynkowe. Na terenie Włoch stworzył gen. Anders „małą Polskę”, zawierającą wszystkie elementy naszego życia społecznego i rozwoju kulturalnego. Niemalą wymowę miał fakt, że zarówno w tej „małej Polsce”, jak i w szeregach wojska nie było przez cały czas wojny żadnych poważniejszych

fermentów czy niesnasek politycznych lub narodowościowych. Było to niezawodnie zasługą gen. Andersa. Życie jego było do ostatniego dnia wypełnione pracą dla Polski i walką o wolność (...)”.

Przyszłość drugiego emigracyjnego pokolenia

Tamara i Wiesław Lasoccy podkreślają, że niepodległościowa, żołnierska emigracja polska przejęła tradycje pielęgnowania polskiej kultury i utrzymywania młodego pokolenia w polskości, tak jak to było praktykowane w 2 Korpusie gen. Andersa. Cytują słowa papieża Jana Pawła II, wypowiedziane 30 maja 1982 r., podczas jego pobytu w Londynie:

„Kultura narodowa jest dobrem, na którym opiera się życie duchowe Polaków; dobrem, które wyodrębnia nas jako naród i stanowi o nas bardziej niż siła materialna, bardziej niż granice polityczne...”

– Z naszym synem Ludkiem rozmawialiśmy tylko po polsku – mówi pani Tamara. – Był uczniem szkoły przedmiotów ojczystych, zdał z wyróżnieniem państwowe egzaminy z języka polskiego na małej i dużej maturze. Należał do zuchów, a potem do drużyny harcerskiej. Nie przeszkodziło mu to w ukończeniu angielskiego gimnazjum oo. salezjanów oraz studiów na wydziale geofizycznym Uniwersytetu Imperial College w Londynie.

Mając 13 lat Ludek otrzymał jedną z czterech pierwszych nagród w konkursie wiedzy o ochronie przyrody i ginących gatunków dzikich zwierząt. W konkursie tym uczestniczyło kilkadziesiąt tysięcy dzieci z całej Wielkiej

Brytanii. Nagrodą było spędzenie z jednym ze swych rodziców dwóch tygodni na safari we Wschodniej Afryce. Swymi wrażeniami z tej wspaniałej wycieczki, na której był z matką podzielił się potem ze słuchaczami radiowymi i telewizyjnymi. Opisał je też w dodatku dla młodzieży „Tygodnika Polskiego”.

Dziś przystojny, ciemnooki 45-letni Ludomir jest specjalistą od nafty. Przez wiele lat pracował w brytyjskich i amerykańskich firmach naftowych, obecnie jest współwłaścicielem firmy specjalizującej się w poszukiwaniu i eksploataowaniu złóż ropy. Dużo podróżuje. Bywa m.in. w Polsce i w Związku Radzieckim. Ożenił się z Polką, Małgorzatą Kłockowską z Poznania, która jest kierowniczką szkoły przedmiotów ojczystych.

– Mamy troje dzieci: Anię, Janka i Tomka; rozmawiamy z nimi tylko po polsku i staramy się wychować w polskich tradycjach – mówi Ludomir, który podczas swojej obecności akurat odwiedził rodziców, ale śpieszył się do swych zajęć. – Bywamy często w Polsce, wakacje najczęściej spędzamy w leśnym domku pod Poznaniem.

– Czy rola polskiej emigracji jest już skończona? Jaka przyszłość czeka jej drugie pokolenie? – pytam Wiesława Lasockiego.

– Rząd polski w Londynie przekazał już insygnia władzy, kończąc w ten sposób swą polityczną misję – odpowiada Lasocki. – Dziś Kraj jest wolny i demokratyczny. Trzeba wierzyć, że będzie coraz lepiej. Ja wierzę.

Lasocky o młodym emigracyjnym pokoleniu:

– Wielu rówieśników Ludka i Małgosi, absolwentów

wyższych uczelni, część swego czasu poświęca pracy społecznej dla Polski, choć w świecie coraz popularniejsza staje się teoria wielokulturowości. Jedni pracują w polskim harcerstwie lub organizacjach kulturalnych i oświatowych, inni swe możliwości i wiedzę oddają na użytek odradzającej się gospodarki w Polsce.

Np. syn jednego z naszych kolegów pułkowych, będąc dyrektorem poważnego międzynarodowego banku, jest jednocześnie przewodniczącym ZHP za granicą. Inny, w oparciu o kapitał brytyjski, przyczynił się do powstania radiostacji z programami w języku polskim nie tylko na terenie dawnych ziem kresowych, ale nawet w dalekim Kazachstanie, gdzie wciąż żyją tysiące naszych rodaków. Są i tacy, którzy sprawę polską reprezentują i popierają w brytyjskich instytucjach samorządowych, a nawet w parlamencie.

– Można więc mieć nadzieję, że nasza młodzież emigracyjna stanie się ważnym i trwałym łącznikiem między Polską i krajami swego osiedlenia, z korzyścią dla obydwu stron – przekonuje, podpierając się łaską.

Już odszedł...

Niestety, Wiesław A. Lasocki nie doczekał wydania tej książki. A był nią bardzo zainteresowany, martwił się nawet o jej wydawcę. Jeszcze 21 czerwca 1996 r. napisał do mnie:

„(...) Bardzo jestem ciekawy książki, którą Pani zamierza opracować i wydać. Myślę, że czytelników w Kraju mógłby zainteresować rodzaj reportażu o Polakach z Anglii na tle krajobrazu i dziejów Wielkiej Brytanii

(...). Ogromnie ważną rzeczą jest jednak znalezienie odpowiedniego wydawcy”.

Odszedł 17 września 1996 r., na oczach żony w ich pięknym domu na 84 Taybridge Road w Londynie.

– Czuł się tego dnia zupełnie dobrze; nie pozwolił nawet sobie pomóc w porannych czynnościach – słyszę przez telefon od jego zrozpaczonej żony Tamary. – Poszedł jednak do lekarza. Wrócił do domu, usiadł i nagle umarł... Jak to dobrze, że się jeszcze z Panią spotkał! Tak Panią polubił!

Był to kolejny zawał. Tym razem serce nie wytrzymało.

Jego ciało zostało poddane kremacji. W Londynie, w kościele Chrystusa Króla na Balham, odbyła się uroczysta msza żałobna. Znanego pisarza, magistra praw, podharcemistrza ZHP, majora kawalerii żegnali przemówieniami m.in.: prezes Związku Pisarzy na Obczyźnie prof. Józef Garliński; prezes Instytutu i Muzeum im. gen. W. Sikorskiego Ryszard Dembiński, przyjaciele i koledzy. Przepelnioną świątynię najbardziej chyba jednak wzruszył krajan zmarłego, Józef Mossakowski, który opowiedział o ukochanym przez Wiesława Lasockiego Ciechanowie. Przypomniwał wspólne szkolne i harcerskie lata, polowania i wędrowki po pokrytych kaczeńcami łąkach Równiny Mazowieckiej.

– Wiosną 1997 r. mąż spocznie na Powązkach w Warszawie; wykupiliśmy mu tam miejsce w kwaterze żołnierzy walczących na Zachodzie. Na razie urna z jego prochami jest ze mną, w naszym jakże teraz pustym domu... Może Pani do mnie przyjedzie? – rozplakała się pani Tamara.

W Ciechanowie żyje jeszcze Irena Lasocka, siostra Wiesława, młodsza od niego o trzy lata. Jest już jednak bardzo schorowana, samotna, właściwie leży ciągle w łóżku.

– To chyba umarł mój brat... – pokazuje mi zdjęcie Wiesława z rodziną, w książce leżącej na jej nocnej szafce. – Byliśmy bardzo zżyci. Ale czy to naprawdę mój brat? – powtarza półprzytomnie...

U MARII, EKONOMISTKI, ŻONY ROTMISTRZA

W ciągu kilkudniowego pobytu w Londynie Józef Mossakowski oferuje się zapoznać mnie jeszcze ze swą szkolną koleżanką z gimnazjum w Ciechanowie – Marią Burchacką, po mężu Skibową. Czasu mamy jednak niewiele, więc prezentacja jej sylwetki, a przy okazji jej męża Antoniego Skiby, również związanego z Ciechanowem poprzez 11 Pułk Ułanów, będzie z konieczności skrótowa.

Nad Tamizą uderzają kolory. Wiktoriańskich domów, zbudowanych z cegły, kamienia i czerwonej dachówki; intensywnych barw reklam oraz różne odcienie skóry międzynarodowego tłumu mieszkańców. Ok. 20 proc. obywateli Zjednoczonego Królestwa to bowiem czarni, do których Anglicy zaliczają nie tylko Murzynów i Mulałów, ale też bardzo licznych tu Hindusów.

Podziwiam wspaniałe kobierce wiosennych kwiatów: tulipanów, żonkili, pierwiosnków; wkomponowane w świeżą zieleń przyszytych wzorowo trawników. Wszędzie mnogość kwitnących drzew; szczególnie magnolii i licznych tu sadów. Uświadamiam też sobie, że czerwone piętrowe autobusy oraz wszechobecne, szuka-

jące pasażerów w ulicznym ruchu (nie na postoju), czarne charakterystyczne angielskie taksówki są żywymi pomnikami Londynu.

Poraża mnie natomiast widok ogromnych kółców na grubym drucie, osłaniającym płot królewskich ogrodów...

Samotni i starzy

– Jesteśmy oboje w bardzo podeszłym wieku; mąż ma 95 lat, a ja 85; niewiele nam więc już potrzeba aby umrzeć – szczebiocze od progu Maria Skibowa, jakby chcąc usprawiedliwić skromny wystrój ich nieco mrocznego, choć dużego i wygodnego domu przy Drownnton Aus SW 2 w Londynie.

Gospodyni jest drobna i szczupła („zawsze była jak nitka” – twierdzi Józef Mossakowski), sprytna i żywa jak iskierka. Zachowała bystrość, znakomitą pamięć i jasność umysłu.

Gorzej z jej starszym o dziesięć lat mężem. Pomimo świetnego jak na 95 lat wyglądu, Antoni Skiba ma kłopoty z przypomnieniem sobie nazw, dat i faktów. Pozostała mu jednak duma, klasa oraz dostojność przedwojennego polskiego oficera, obecnie w stopniu pułkownika. Jest honorowym prezesem Koła 1 Pułku Szwoleżerów w Londynie, według Józefa Mossakowskiego, najstarszym z prezesów wszystkich kół pułkowych działających w tej metropolii.

– Nie lubię wojny ani mundurów, choć jeszcze w Ciechanowie mi imponowały – mówi nieco nerwowo Maria Skibowa. – Sądzę, że gdybym nie wyszła za woj-

skowego, moje życie inaczej by się potoczyło - dodaje z pewnym zawodem i goryczą, poprawiając szybkim ruchem swe siwe włosy.

Rozmawiamy przy szarlotce, herbacie i świeżych truskawkach. Za oknem londyńska wiosna, słysząc śpiew ptaków. Ale dom jest polski. Na honorowym miejscu duży olejny obraz z podhalańskim górale, we wszystkich trzech pokojach na parterze wiele narodowych akcentów. Tu też zawsze mówiło się w języku ojczystym.

Panienka z dobrego domu i ułan

Urodziła się w Ciechanowie na ulicy Małgorzackiej 30 września 1911 r. Ojciec, właściciel podciechanowskiego Niechodzina, sprzedał ten niewielki majątek z myślą o nabyciu większego. Po chwilowym zamieszkaniu w Ciechanowie zachorował jednak ciężko na galopujące suchoty i zmarł zaraz po przeprowadzce nad Łydynię, mając zaledwie 29 lat.

– Znam go tylko z fotografii – mówi pani Maria, która miała zaledwie trzy miesiące jak straciła ojca. – Mama opowiadała, że był przystojny; dlatego nie wyszła ponownie za mąż.

Matka, Czesława z domu Russo (po dziadku Francuzie z wojny napoleońskiej, który zakochał się w jej babci, polskiej szlachciance) pracowała potem jako księgowa, m.in. w ciechanowskiej mleczarni, mieszkając z córką na ul. Małgorzackiej.

Maria ukończyła gimnazjum w 1929 r., a potem Wyższą Szkołę Handlową w Warszawie (1934 r.). Po

studiach wykształcona panienka wróciła do matki w Ciechanowie i rozpoczęła pracę w miejscowym banku ziemiańskim. W 1937 r. wydała się za Antoniego Skibę, ówczesnego rotmistrza 11 Pułku Ułanów w Ciechanowie.

Jej małżonek, Antoni Skiba pochodzi z Rzeszowa, gdzie urodził się 15 maja 1901 r. Zwierza się, że od dziecka kochał konie i pragnął służyć w polskim wojsku. Już jako 13-letni chłopiec uciekł w 1914 r. z domu do legionów tworzonych przez Józefa Piłsudskiego u boku wojsk austriackich. Jednak wtedy odesłano go jeszcze do domu.

– Ale już zimą 1916 r. byłem ochotnikiem w 1 Pułku Ułanów Legionowych na Wołyniu, czyli późniejszym 1 Pułku Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego – uśmiecha się dziś z nostalgią leciwy pułkownik. – Miałem tam okazję poznać śmietankę patriotycznej młodzieży polskiej, która po latach rozbiorów i niewoli tworzyła II Rzeczpospolitą. Dorastałem więc wśród ludzi, którzy wywalczyli niepodległość Polski, a potem nią kierowali.

Najbardziej ukochał Rudolfa Eugeniusza Dreszera (1891-1958; w latach 1939-40 dowódca 4 Dywizji Piechoty w ramach Polskich Sił Zbrojnych tworzonych we Francji). – Cały czas się mną opiekował – zapewnia.

W latach 1918-20 Antoni Skiba uczestniczył w wojnie polsko-bolszewickiej. Brał udział w walkach o Lwów, Wilno, walczył nad Dźwiną. W trakcie tej wojny otrzymał stopień plutonowego i dowodził plutonem w szwadronie technicznym pod dowództwem porucznika Jana Karcza. Na wschodzie był ranny w rękę, pomimo to w sierpniu 1920 r. uczestniczył w słynnej bitwie warszawskiej. Mówi o niej szczegółowo, dużo i chętnie. W

bitwie tej, jako plutonowy, był jednocześnie dowódcą działu pułkowego; dostał za nią *Virtuti Militari*.

– To nie był cud nad Wisłą, tylko normalne, twarde, wojenne zwycięstwo – tłumaczy powoli. – Cud był dla tych, którzy nie wierzyli, że wygramy, gdyż nasze siły były kilkakrotnie mniejsze od bolszewickich.

Jego zdaniem, bitwa warszawska była jedną z najważniejszych bitew świata i miała większe znaczenie od legendarnej bitwy pod Legnicą w 1241 r.

– Tylko dlatego bolszewicy nie poszli wtedy dalej do Europy, bo dostali od nas w skórę – twierdzi. – Przykładów takich osiągnięć jest w historii niewiele. Niemcy, Francja i inne kraje na Zachodzie były wówczas skomunizowane, bolszewizm mógł więc zalać cały kontynent.

Nagrodą za tę wojnę, poza *Virtuti Militari*, była duża działka ziemi na Wołyniu. Antoni Skiba nie przyjął jej jednak; chciał kontynuować karierę wojskową. Zdecydował się na naukę w oficerskiej szkole dla wyróżniających się podoficerów w Bydgoszczy, którą ukończył w 1924 r. Po niej otrzymał przydział do 11 Pułku Ułanów w Ciechanowie.

– Z Ciechanowa mam same miłe wspomnienia – mówi dziś w Londynie, elegancko ubrany (granatowa marynarka, koszula w paski, krawat, kamizelka), zasłużony dla Polski oficer.

Za mężem z dzieckiem na rękę

W rok po ślubie Marii Burchackiej z Antonim Skibą, czyli w 1938 r. urodził się w Ciechanowie ich jedyny syn Wojciech.

Nadciągała jednak następna wojna. W czerwcu 1939 r. rotmistrz Skiba zostaje przeniesiony z 11 Pułku Ułanów w Ciechanowie do Ostroga nad Chorynią na Wołyniu, półtora kilometra od granicy sowieckiej. Skiba został tam dowódcą 1 szwadronu w 19 Pułku Ułanów Wołyńskich, czyli prawą ręką jego dowódcy, podpułkownika Józefa Piętkowskiego (zginął potem w Katyniu).

Maria z synem pojechała do Ostroga za mężem.

– Wybrałam się tam na swoje nieszczęście – przyznaje dzisiaj. – Zaraz wybuchła wojna, mąż poszedł walczyć, a ja musiałam zostawić cały nasz dorobek i uciekać z dzieckiem na rękę. To cud, że dojechałam do jego rodziców w Rzeszowie. Tam spędziłam całą wojnę, tylko kilka razy odwiedzając matkę w Ciechanowie.

Wojtek przeżył się podczas tej ucieczki. Uważa, że skutki wojennej tułaczki odczuwał potem przez całe życie.

Rotmistrz Antoni Skiba walczył z Niemcami wraz z 19 Pułkiem Ułanów Wołyńskich. Jego działania opisał szczegółowo w swej książce „Boje 19 Pułku Ułanów Wołyńskich w kampanii wrześniowej” (Wydawnictwo „Przeglądu Kawalerii i Broni Pancerniej”, Londyn, 1971 r.). Szczególnie dumny jest ze swego uczestnictwa w zwycięskiej bitwie razem z Wołyńską Brygadą Kawalerii pod Mokłą (woj. częstochowskie), która unieszkodliwiła ok. 50 niemieckich czołgów i osadziła niemiecki XVI Korpus Pancerny w drodze na Warszawę. Według Antoniego Skiby, wszystkie bitwy graniczne, jakie stoczyły wówczas wojska polskie z niemieckimi, były zwycięskie. Doprowadziły one do wypowiedzenia wojny Niemcom przez Anglię i Francję, zaważyły na przebiegu całej

drugiej wojny światowej i były aktem wstępnym klęski Hitlera.

Oto krótki fragment jego książki, w której oryginalnie i interesująco ujmuje rolę, jaką odegrały bitwy graniczne podczas drugiej wojny:

„Dzięki wynikowi bitwy granicznej z armią polską w pierwszych dniach września 1939 r. zawiódł niemiecki plan błyskawicznego powalenia Polski, przez co Niemcy uwiklali się w niezwykle krwawą wojnę polsko-niemiecką i w konsekwencji w wojnę światową, której chcieli uniknąć (...) – pisze Skiba. – Polska nie skapitulowała, i to właśnie doprowadziło do drugiej wojny światowej (...). Tak w Kampanii Wrześniowej, jak i w Kampanii Francuskiej Niemcy odnieśli zwycięstwo, ale wojny nie wygrali (...)”.

W największym polskim ośrodku na obczyźnie

Książkę Antoniego Skiby oraz inne polskie wydawnictwa, m.in. Wiesława Lasockiego i Józefa Garlińskiego, można znaleźć w Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym (POSK-u) na King Street 240. Jest ona dostępna w tamtejszej bibliotece (liczącej ok. 150 tys. tomów; bogaty zbiór conradianów i anglopoloników, komplety wydawnictw emigracyjnych) oraz w księgarni.

POSK to największa poza krajem polska instytucja kulturalna i wielki sukces polskiego Londynu.

Józef Garliński podsumowując 25 lat POSK-u pisze w „Cudzie nad Tamizą” (wydanym przez POSK, Londyn, 1989 r.):

„Pierwsze lata londyńskiej emigracji politycznej, która zaczęła się od cofnięcia uznania polskiemu rządowi w lipcu 1945 r., nie mogły mieć cech planowego działania na długą metę. Nikt wtedy nie przewidywał wieloletniej emigracji; były to jeszcze ciągle lata nadziei, nadal można było spodziewać się rozwiązań politycznych, które pozwoliłyby na powrót do Kraju.

Mimo nastroju wyczekiwania i tymczasowości, rozpoczęło się masowe tworzenie polskich organizacji i instytucji politycznych, kulturalnych, kombatanckich, społecznych i zawodowych, których powstało ponad sto.

Jednak po kilku latach, gdy decyzje wielkich mocarstw nabrały trwałości, gdy wieści z Kraju przekreślały wszelkie nadzieje na szybkie zmiany, poczęły się podnosić głosy wskazujące na konieczność łączenia wysiłków (...). Przez szereg lat wysuwano projekty i dyskutowano o stworzeniu wielkiego Polskiego Domu, który zgromadziłby pod jednym dachem większość polskich organizacji i instytucji (...).

Zanim statut POSK-u został ostatecznie przyjęty przez władze brytyjskie, co było decydujące z uwagi na charytatywny charakter instytucji, należało dokonać formalnego jej powołania do życia. Dokonano tego 23 lipca 1964 r. w Londynie i data ta stanowi początek istnienia POSK-u”.

Jednak przed przystąpieniem do budowy POSK-u wydawało się, że podziały wśród Polonii uniemożliwią realizację tego ambitnego przedsięwzięcia. Później, w trakcie jego powstawania, idea omal nie upadła z powodu gwałtownie rosnących kosztów, inflacji oraz innych przeciwności losu. Od otwarcia w 1971 r. POSK, wybu-

dowany kosztem dwóch milionów funtów, które pochodziły wyłącznie ze składek Polaków, też niejednokrotnie stawał w obliczu bankructwa. Dziś ośrodek ten ma 8,5 tys. udziałowców i prawie 2 tys. fundatorów, nie tylko z terenu Londynu i Anglii, łożących na jego utrzymanie. Część pomieszczeń wynajęto firmom i POSK trwa.

Jego gmach jest imponujący. Pięć kondygnacji o łącznej powierzchni 10 tys. m kw. mieści większość polskich organizacji i stowarzyszeń w Wielkiej Brytanii, a także szereg organizacji o zasięgu międzynarodowym, jak Światowa Organizacja Kombatantów, Związek Pisarzy Polskich z prezesem Józefem Garlińskim, Związek Dziennikarzy RP czy Polski Uniwersytet na Obczyźnie. Sukcesem działaczy emigracyjnych jest, iż uzyskanie dyplomu tego uniwersytetu daje możliwość nauczania w angielskich szkołach średnich.

Jest tu także główna siedziba Biblioteki Polskiej (od 1977 r.), Teatru Polskiego, sale konferencyjne, restauracyjne, dyskoteka, galeria. – Długo się tu czeka na zaprezentowanie swych prac - mówi Tadeusz Bajwoluk, artysta z Krakowa, który w POSK Gallery akurat wystawia swe malarstwo.

W POSK-u znajduje się też Instytut Józefa Piłsudskiego. Działa on od 1948 r. i jest młodszym bratem Instytutu Piłsudskiego w Ameryce, z którym wspólnie wydaje rocznik „Niepodległość”. Zbigniew Kowalski, wiceprezes Instytutu i jednocześnie przewodniczący komisji archiwalnej, chętnie pokazuje mi zbiory.

– Wszyscy pracujemy tu społecznie po to, aby odsunąć sklerozę historyczną na późniejsze lata – zaznacza historyk. – Zebrane pamiątki pochodzą z darów, kolekcji rodzinnych, część z przedwojennego Muzeum Belwederskiego.

Wśród eksponatów są m.in. osobiste przedmioty Piłsudskiego, np. karty, którymi układał pasjanse, wieczne pióro, książeczki: do nabożeństwa i oszczędnościowa, papierośnice, wizytówki, odznaczenia, symboliczne klucze do Wilna ofiarowane przez wilnianki w 1919 r. po oswobodzeniu miasta. Dużo portretów Marszałka (m.in. Piłsudski na kasztance namalowany w 1929 r. przez Wojciecha Kossaka) i jego najbliższych członków rodziny, legionistów oraz współpracowników. Oryginalne mundury, flagi, szable, fotografie, listy, mapy. Są tu nawet kwiatuszki z wianka, które na trumnie ojca położyła Jadwiga Piłsudska.

Według mego przewodnika najbardziej cenna wśród 700 zebranych eksponatów jest buława Marszałka, przechowywana w skarbcu Instytutu. Działają tu też: biblioteka (4 tys. woluminów), archiwum dokumentów, fotografii oraz prasowe.

– Instytut utrzymuje się wyłącznie ze składek członkowskich, darów oraz spadków; a służy historykom i zwiedzającym z całego świata – podkreśla nie bez dumy wiceprezes Zbigniew Kowalski.

Z Mińska do Londynu

W jednym z ostatnich bojów kampanii wrześniowej, w bitwie pod Mińskiem Mazowieckim Skiba został ciężko ranny. Mimo to został przy swoim pułku, choć jeździł na wozie. Kiedy pod Zamościem został zatrzymany przez rosyjskiego oficera, nie przyznał się, że jest oficerem kawalerii (ci trafiali do Katynia). Przedzierając się do Rzeszowa stracił jednak przytomność w Sandomierzu.

Znalazł go wtedy polski oficer, który ocucił, nakarmił i pomógł mu dotrzeć do żony i rodziców.

Ledwo jednak rodzina zdołała go w Rzeszowie wykurować, już wraz z dwoma kolegami przez Węgry przedarł się do Francji, gdzie wstąpił do tworzonej tam polskiej armii.

– Do Paryża dojechaliśmy w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia 1939 r. – wspomina. – Nie skierowano mnie jednak na front. Zostałem wysłany do obrony Wyp, do Edynburga w Szkocji, gdzie po upadku Francji stacjonowała 1 Dywizja Pancerna gen. Maczka. Byłem tam najpierw kwatermistrzem w 10 Pułku Dragonów, potem komendantem szkoły artylerii przeciwpancernej, w której szkoliłem młodych żołnierzy do walk na Zachodzie.

I znów Maria z synkiem zdecydowała się jechać za mężem. Zaraz po wojnie, podczas wysiedlania z Pomorza Niemców w 1946 r., zabrała się z nimi pociągiem ze Szczecina do Lubeki, a potem przedarła do Meppen i przez Anglię do Szkocji.

– Najpierw mieszkaliśmy w Edynburgu – opowiada. – W 1949 r. osiedliliśmy się na stałe w Londynie.

Od łapania oczek do Continentalu

– Do Polski nie mogliśmy wrócić – mówi Antoni Skiba. – Komuniści to nie ludzie, dobrze ich poznałem; nie mógłbym z nimi współżyć. Miałem szczęście uczestniczyć w najważniejszych dla Polski bitwach; wiadomo co mi za to groziło.

Oficer Skiba jest tak zrażony do komunistów, że ani

razu nie odwiedził Polski. Działał za to aktywnie w polskich organizacjach w Anglii, jest członkiem Instytutów: Sikorskiego i Piłsudskiego, nie szczędził pieniędzy na funkcjonowanie „Polski w Londynie”. Zawsze też pilnie śledził, co dzieje się w Kraju.

Jednak początki życia Marii, Antoniego i Wojciecha Skibów na Wyspach, jak wszystkich pozbawionych nagle Ojczyzny Polaków, były trudne. Świetnie wykształcona przed wojną Maria musiała zarabiać łapaniem oczek w pończochach i sprzątaniem. Dopiero potem, w 1956 r., udało się jej otrzymać dobre stanowisko w dużej agencji kolportażu prasy Continental. Handlowała tam z całym światem setkami tytułów prasowych. Próbowala też biznesu z Polską, ale kiedyś zamiast zapłaty za przesłane egzemplarze agencja otrzymała... pismo „Poland”. Mówi, że był to koniec kontaktów handlowych z Krajem. Jej pozostał wstyd.

– Kochałam tę pracę, wykonywałam ją równo przez 25 lat, do 30 lipca 1981 r. – pokazuje ostatni bilet przejazdowy ze zdjęciem, który zachowała na pamiątkę.

Jej mąż nie narzeka na życie w Anglii, choć na początku też chwycił się różnych zajęć, pracując m.in. w restauracji. Potem jednak otrzymał od angielskiego rządu stypendium na roczne studia handlu zagranicznego. Po ich ukończeniu przez 18 lat pracował w agencji ubezpieczeniowej London Insurence, w samym centrum miasta (Picadely).

– Właściwie to dobrze nam się powodziło - przyznają obydwójce. – Jeździliśmy na długie wspaniałe urlopy na kontynent, kupiliśmy dom, mamy dziś wysokie emerytury.



Maria i Antoni Skibowie. Ciechanów, 1935 r.



*Antoni Skiba z teściową
Czesławą Burchacką.
Londyn, kwiecień 1967 r.*



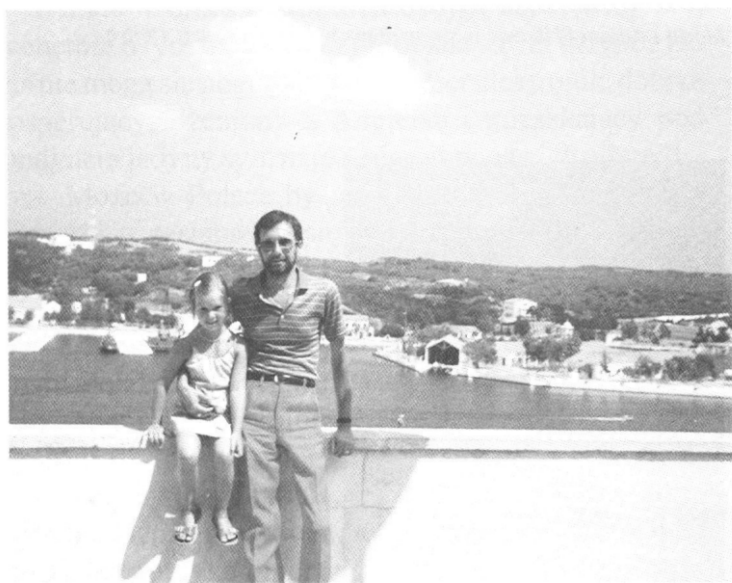
Antoni Skiba z wnuczką Holly. Londyn, kwiecień 1980 r.



Maria Skiba z wnuczką Holly. Londyn, sierpień 1979 r.



Susan, Wojtek i Holly Skibowie. Londyn, październik 1980 r.



Wojtek Skiba z córeczką Holly na dwutygodniowym urlopie na Majorce, grudzień 1983 r.



Maria i Antoni Skibowie w swym domu w Londynie, maj 1996 r.



Maria Skiba, z domu Burchacka, w swym domu w Londynie, maj 1996 r.

Została tylko wnuczka

Maria jednak bardzo tęskniła za Polską. Kilkakrotnie odwiedziła Ciechanów, ostatni raz w latach 70. W 1960 r. sprowadziła do Londynu swą matkę, która zmarła w jej domu. Jej prochy spoczywają jednak na zabytkowym cmentarzu na ul. Płońskiej w Ciechanowie, tak jak sobie życzyła (ciało zostało poddane kremacji).

– Czy Pani chciałaby spocząć obok matki i ojca w Ciechanowie? – pytam

– Dla mnie jest to obojętne; można nawet moje prochy rozrzucić nad oceanem - odpowiada beznamiętnie Maria.

Inaczej jej mąż. Na miejsce spoczynku zdecydowanie wybrał angielską ziemię. Chce być blisko swego syna Wojciecha, który umarł nagle w 1987 r.

Śmierć Wojtka to dla nich obojga największy ból; niechętnie o tym mówią. I czyż można się im dziwić? Do dziś nie mogą się pogodzić, że inżynier elektronik, dobrze prosperujący, ożeniony z Angielką i mieszkający pod Londynem jedyny syn, nagle, pierwszy od nich odszedł...

– Może w Polsce by jeszcze żył; nasz klimat jest zdrowszy – zastanawia się jeszcze pani Maria, często żałując, że przyjechała za mężem do Anglii.

Do dziś nie pała miłością do Anglików, kilkakrotnie podkreśla w trakcie naszej rozmowy, że po wojnie wystawili Polaków do wiatru. Więcej sympatii ma już dla Murzynów i innych kolorowych mieszkających dziś na Wyspach.

– Anglicy ich nie lubią, ale osiedlanie się tutaj kolorowych cudzoziemców jest ceną, jaką muszą zapłacić za imperialną politykę i niegdysiejsze podboje – twierdzi.

Pokazuje stojące w ramce zdjęcie ładnej dziewczynki.

– To wnuczka Holly, jedyna nasza pociecha – Maria uśmiecha się. – Jest trochę podobna do naszego Wojtka, trochę do angielskiej jego żony Suzan. Ma 18 lat, odwiedza nas, dobrze się uczy, ale języka polskiego to Holly już prawie nie zna.

Zawsze może do mnie wrócić

W Ciechanowie odwiedzam panią Stanisławę Kacprzak, kuzynkę Marii Skibowej. Jest młodsza od Marii o sześć lat. Mieszka samotnie w rodzinnym domu na ul. Głowackiego, gdyż mąż zmarł dwa lata temu, a troje dzieci porozjeżdżało się po całym świecie (córka lekarka mieszka w Szwajcarii; syn, inż. budownictwa w Stanach Zjednoczonych; syn, oficer marynarki – w Gdańsku). Kacprzakowa, rolniczka, z zamiłowania plastyczka (haftuje, maluje), nigdy nie odwiedziła Marii w Anglii.

– To była piękna kobieta! – zachwycą się Marią. – Niezwykle subtelna, miła, mądra, grała pięknie na pianinie. Kiedyś pisałyśmy do siebie częściej, dziś jakoś coraz rzadziej.

Stanisława Kacprzak, wysoka, postawna, jeszcze w sile wieku i dobrej kondycji, opowiada, że Maria zawsze zatrzymuje się u niej, gdy przyjeżdża do Polski. Najbardziej pamięta jak osobiście przywozła prochy swej matki. Postawiła wtedy urnę na pianinie Kacprzakowej i czule ją głaszcząc szeptała ze łzami: „Moja Mamusia...”. Potem ogromnie przeżyła śmierć swego jedyne go syna...

– Zawsze przyjeżdżała z Anglii sama – opowiada. – I zawsze płakała, żalując, że nie może mieszkać w Ciechanowie. Mówiłam jej, że dom jest duży i chętnie ją przyjmę. W każdej chwili, nawet dziś...

– To wspomniała kuzynka! – skomentowała telefonicznie (w grudniu 1996 r.) zaproszenie Kacprzakowej do rodzinnego miasta pani Maria Skibowa. – Niestety, mój mąż jest ciężko chory i od dłuższego czasu przebywa w domu opiekuńczym. Ja też już nie czuję się najlepiej. Przy pomocy przyjaciół staram się sprzedać nasz dom i też przeniosę się do domu opiekuńczego.

U ANNY Z AK, UCZESTNICZKI POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Z Anną Olszewską-Przylipiak z Manchesteru, czyli „Marią” z Powstania Warszawskiego, spotykam się w Ciechanowie 19 lipca 1996 r. Jest ona najmłodsza z piątki moich bohaterów. Zna ich wszystkich; najbardziej lubi „Józka” Mossakowskiego.

Lato 1996 r. jest w Polsce wyjątkowo zimne i wilgotne. Rozmawiamy też w chłodnym, dużym rodzinnym domu, będącym obecnie własnością brata pani Anny – Jerzego Olszewskiego, na ul. Augustańskiej 1.

– Dom ten, jeszcze po dziadku i naszej matce Zofii z domu Lenc, udało mi się odzyskać dopiero w 1993 r. – nie omieszka przypomnieć pan Jerzy, znany nad Łydynią farmaceuta i działacz społeczny. Parzy herbatę na rozgrzewkę. Oprócz domu odzyskał też, również na ulicy Augustańskiej, całą rodzinną posiadłość, wraz z jej częścią przemysłową o powierzchni ponad 600 m kw. Wydzierżawia ją obecnie czterem firmom.

– Przyjechałam z Anglii, aby się ogrzać, a tu jeszcze zimniej – pani Anna otula się białą moherową kamielką.

Była łączniczka Armii Krajowej jest dziś 75-letnią,

elegancką, zadbaną blondynką. Jej suknię w biało-czerwoną kratkę ozdabiają białe perełki, do tego białe klipsy i broszka. Toaletę uzupełniają jasno pomalowane paznokcie, dwa złote pierścionki i obrączka na prawej ręce, choć od 1991 r. jest wdową.

W Ciechanowie do małej matury

Urodziła się 25 marca 1921 r. w podciechanowskim majątku Rykaczewo, półtora roku po jedynym bracie Jerzym. Ojca, ziemianina Higinia Antoniego Olszewskiego, nie znała. Zaciągnął się on w 1920 r. na ochotnika do 201 Pułku Szwoleżerów, był ciężko ranny w bitwie z bolszewikami pod Strzegowem i zmarł 7 września 1920 r. w Szpitalu Ujazdowskim w Warszawie.

Matka nosiła wówczas Annę w łonie; na świat przyszła dopiero sześć miesięcy po jego śmierci. Czy Higin Antoni Olszewski przypuszczał kiedyś, że jego córka będzie skazana na tułaczę życie poza Krajem?

– Z lat dziecińczych najbardziej pamiętam jazdę konną, na oklep i w siodle, oraz gimnazjum w Ciechanowie, gdzie w 1939 r. zdążyłam zrobić tylko małą maturę – rozpoczyna opowieść Anna Przyłipiak.

Jej brat Jerzy:

– Od najmłodszych lat Ania była przedsiębiorcza. Zawsze chodziła własnymi ścieżkami.

Okupację Anna wspomina jako jedno pasmo udręk.

– Kiedy Niemcy przyjechali w listopadzie 1941 r. wysiedlać nas z majątku, który już był pod zarządem wojskowym, uciekliśmy z mamą do sąsiadów Gumowskich, mieszkających po drugiej stronie szosy. Ukrywa-

li nas tam przez trzy tygodnie, potem tyle samo przebywaliśmy w Ciechanowie. Później przez zieloną granicę przedarliśmy się do Warszawy. Aby tam przeżyć, trzeba było sprzedać rodzinną biżuterię.

W guberni zajęli się handlem; Anna zamieszkała u ciotki i wraz z kuzynem otworzyła w Warszawie budkę „Za Żelazną Bramą”. Pracowała też w szwalni.

– I oczywiście należałam do Armii Krajowej – podkreśla.

Makabra w kanałach

Powstanie Warszawskie nazywa makabrą.

Była łączniczką o pseudonimie „Maria” w Pułku „Baszta” – oddziale dyspozycyjnym Komendy Głównej AK. Jeszcze przed wybuchem powstania, jako jedyny pułk konspiracyjny, rozrósł się on do dziesięciu kompanii. 1 sierpnia 1944 r. liczył ok. 2200 ludzi i był jedynym oddziałem w południowej Warszawie, w tzw. niemieckiej dzielnicy mieszkaniowej, który nie uległ rozsypce i utrzymał zajęty teren. Aż do momentu kapitulacji, czyli do 29 września walczył na Górnym i Dolnym Mokotowie, zadając duże straty Niemcom, ale też ponosząc ogromne ofiary własne.

Dwukrotnie 23-letnia wówczas Anna przedzierała się na niemiecką stronę, przekazując informacje ukrywającym się tam oficerom. Za drugim razem została ciężko ranna; kula trafiła ją 7 września 1944 r. prosto w głowę. Omal nie straciła wzroku. Jeszcze po operacji nie widziała nic przez tydzień, nie odróżniała nawet dnia od nocy.

– Operował mnie, bez znieczulenia, lekarz „Mikrob” z AK, tzn. Tadeusz Bloch; leczyły zaś, w piwnicach na Mokotowie, siostry zakonne – wspomina. – Usunięto mi z głowy dwa odłamki. Jeszcze wtedy nie wiedziałam, że trzeci odłamek pozostał.

Największą gehenną nazywa jednak trwającą 16 godzin ucieczkę kanałami z Mokotowa do Śródmieścia.

– Szłam z bandażami na głowie, prawie niewidoma. Rany, które wcześniej zdążyły nieco przyschnąć, od wilgoci, brudu i amoniaku znowu się pootwierały. Pomagali mi Leszek Bartelski i jakiś podchorąży – pamięta.

Wie, że szli gęsto, często po trupach, oklejeni fekaliami. Zabłądzili w tym strasznym labiryncie. Niektórzy koledzy się załamywali; mówili: zginąć za Ojczyznę warto, ale w takim „złocie”? Pocieszała ich wtedy, sama ledwo idąc, że raz jedyny w życiu nie muszą spuszczać spodni w ubikacji...

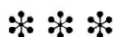
Jest oburzona sceną miłosną z filmu „Kanał” Andrzeja Wajdy.

– W kanałach była wyłącznie walka o życie; śmierć mogła przecież nadejść w każdym momencie – denerwuje się. – Wystarczyło, aby się noga obsunęła i tonęłaś w fekaliach. Iść trzeba było niemal bezszelestnie, gdyż u wylotu kanałów nasłuchiwali Niemcy. Gdy usłyszeli chlupot, wrzucali do kanałów granaty. Albo puszczały prąd, a to już była pewna śmierć. Czy w takich warunkach był czas na uprawianie miłości?

Czatowały też na nich wszechobecne szczury. Do dziś wzdryga się na samo ich wspomnienie. Pomimo iż widziała wtedy bardzo słabo, dobrze pamięta światła ich oczu. I bardzo długie ogony...

– Nas żywych nie atakowały, były obżarte trupami - prosi o niekontynuowanie już rozmowy na temat powstania.

Odpoczywamy.



Prof. Jan Ciechanowski, historyk z Londynu; wcześniej warszawianin, żołnierz AK i uczestnik Powstania Warszawskiego; w swej książce „Powstanie Warszawskie” (wydanej w 1971 r. nakładem londyńskiego wydawnictwa „Odnova”) pisze m.in.:

„(...) Przywódcy, podrywając Warszawę do walki, kierowali się względami politycznej i ideologicznej natury. Sądzieli, że opanowanie Warszawy przez AK wzmocni w oczach opinii światowej prawa i roszczenia rządu londyńskiego do reprezentowania i objęcia władzy w Polsce. Armia Krajowa przez opanowanie Warszawy miała przygotować grunt do walnej, ostatecznej rozgrywki ze Stalinem, która miała zadecydować, kto będzie rządził powojenną Polską - obóz londyński czy PPR i zwolennicy (...)”.

Jan Ciechanowski krytykuje w swej książce londyńskie władze polityczne i wojskowe za brak realizmu politycznego i krótkowzroczność. Wytyka im brak konsekwencji działania, obarcza odpowiedzialnością za klęskę Powstania. Podkreśla, że Powstanie było skierowane militarnie przeciw Niemcom, ale politycznie w Związek Radziecki i PKWN, czyli jednocześnie godziło w jedność koalicji antyhitlerowskiej. Jego zdaniem, polskie podziemie, podejmując decyzję o wystąpieniu zbrojnym w

Warszawie, powinno współpracować z Armią Czerwoną. Dostrzega jednak, że warunkiem tego współdziałania było wcześniejsze uregulowanie problemów politycznych z ZSRR, a to było zależne również od aliantów.



Brat Anny, Jerzy Olszewski, nie brał udziału w Powstaniu Warszawskim. Opowiada, że od marca 1941 r. do lutego 1945 r. przebywał wraz z matką u rodziny w Jaworówku, gm. Łochów pod Warszawą. Tam przeżył okupację handlując skórami. Po wojnie założyli z matką w Ciechanowie sklep kolonialno-spożywczy. Od 1951 r., gdy po rocznym intensywnym kursie w Uniwersytecie Warszawskim uzyskał uprawnienia farmaceutyczne, Jerzy (przed wojną zdążył ukończyć rok studiów farmaceutycznych) aż do emerytury w 1982 r. był farmaceutą. Pracował w kilku aptekach na Mazowszu, pełnił też funkcje inspektora, a później dyrektora północno-mazowieckiego oddziału Cefarmu.

Do powstaniowego wątku Anna dodaje tylko, że w Śródmieściu nie miała już siły wyjść z kanałów na powierzchnię... Koledzy wyciągnęli ją półprzytomną...

– A potem AK zamknęła nas w jakimś budynku, nie chcąc robić popłochu, że Mokotów się poddał – dodaje już bardzo zmęczona wspomnieniami.

Dolewa herbaty naparzonej przez brata. Znowu robimy pauzę.

Uzupełnia jeszcze, że otrzymywała w tym zamkniętym obiekcie przepustki i wychodziła na zmiany opatrunkowe.

ków do znajomych. W końcu jednak, z niegojącymi się ranami głowy, trafiła do szpitala na Lwowskiej. A stamtąd już prosto do niewoli niemieckiej.

Do niewoli na noszach

Ze szpitala na Lwowskiej Niemcy wynieśli ją na noszach. Był początek października 1944 r.

– Miałam szczęście, bo trafiłam akurat do pociągu reprezentacyjnego Międzynarodowego Czerwonego Krzyża - wznawia opowieść po dłuższej pauzie. – Kręcono film, więc nieśli mnie elegancko na noszach. Kuzynka mogła mi nawet wrzucić na nasze sukienkę i kostium.

Kpi ze wspaniałomyślności okupantów:

– W drodze do Poznania dali nam po małym bochenku chleba i butelce rumu. Ale już za Poznaniem, kiedy komisja Czerwonego Krzyża wysiadła, Niemcy nam te dobra odebrali...

W przedziale jechała m.in. z Zosią, koleżanką ze Śródmieścia, której od wybuchu bomby wypaliło prawie oczy. Zosia skarżyła się, że ją swędzą; Anna zaś pocieszała ją, że to znak ich gojenia się. Ją też swędziały rany na głowie. Była pewna, że się goją. Dopiero w międzynarodowym obozie pracy w Gross Lubars za Magdeburgiem, gdzie trafiły na ponad dwa miesiące, okazało się, że w ich ranach zaległy się... robaki.

– Takie drobne, białe, z czarnymi główkami; znaleźli je w barakach szpitalnych dr Konarski i dr Dobrowolska,

opatrując nas. Pocieszali, że oczyszczają nam rany. Dostałam wtedy torsji...

Boże Narodzenie spędzała już w Oberlangen, w obozie jenieckim dla prawie 2 tys. kobiet, położonym na torfowiskach nie opodal holenderskiej granicy. Przed wyjazdem tam zapamiętała rewizję. Wcześniej, kiedy wnosili ją na noszach, zatrzymała latarkę, bardzo przydatną w latrynach („aby nie wpaść w złoto”). Podczas rewizji w Gross Lubars, przed wyjazdem do Oberlangen, Niemka jednak ją znalazła.

– Tak trzasnęła mi tą latarką w twarz, że straciłam ząb z przodu. Esesmanki były gorsze od esesmanów. Np. inna, o nazwisku Geryza, złapała mnie kiedyś na gotowaniu startego na tarce z puszki kartofla. Mało brakowało, a zakatowałyby mnie na śmierć.

Oberlangen to dla Anny przede wszystkim koszmar nieprawdopodobnego zimna. To dziurawe, zaśnieżone baraki i spanie pod jednym kocym na zmarzniętej słomie. To także uciążliwe, trwające po trzy, cztery godziny apele oraz poruszanie się w niewygodnych, drewnianych chodakach. I jedzenie wywaru i zup z pastwnych buraków, brukwi oraz obierek z kartofli.

Pamięta też dziewięcioro urodzonych w tym obozie niemowląt, m.in. Roberta, syna jej koleżanki Janki Ciesielskiej.

– Te dzieci przetrwały cudem! – dziwi się do dziś. – Niektóre Niemki miały jednak lepsze serca i przynosiły pod bramę obozu mleko.

I ostatnie już wspomnienie o obozach w Niemczech:

– Odbili nas z Oberlangen Polacy z 1 Dywizji Pancерnej gen. Maczka, dokładnie 12 kwietnia 1945 r. Wa-

żyłam wtedy 26 kilogramów, przy wzroście 155 cm. Rany na głowie wciąż miałam otwarte, z cieknącą ropą.

Pierwszym transportem do Anglii

Po wyzwoleniu wyleciała do Anglii z Oberlangen pierwszym sanitarnym samolotem Czerwonego Krzyża. Nie pamięta już jak długo trwała podróż. Utrwaliło się jej tylko, że angielska sanitariuszka dostała akurat krwotoku z płuc. Mdły zapach krwi osłabił Annę zupełnie. Wymiotowała. Wie też, że leciały tym transportem w dwanaście, wszystkie ranne w Powstaniu Warszawskim. Na pokładzie były m.in. dwie dziewczyny z odmą, jedna z odłamek w mięśniu sercowym, kilka z zaatakowanymi płucami oraz szesnastoletnia Stasia z przestrzelonym brzuchem.

– Strasznie się męczyła, gdyż nie było możliwości zrobienia jej operacji – rozwija temat o Stasi. – Do otwartej rany jej brzucha, skąd wylewały się odchody, bo była opatrzona tylko bandażami, szły nocami szczury. Musiałyśmy w obozie czuwać przy niej na zmianę, inaczej by ją zaatakowały.

Bohaterki w oszklonych kabinach

W Anglii nie chciało ich przyjąć kilka szpitali. W końcu znalazły się w szpitalu w Salisbury, gdzie umieszczono je w szklanych pokojach i pokazywano wszystkim jako bohaterskie kobiety, które walczyły z bronią w ręku podczas Powstania Warszawskiego.

– Oglądać nas przyjeżdżali nawet wysocy oficerowie angielscy. O mojej obecności dowiedział się też major Antoni Skiba, którego znałam jeszcze z Ciechanowa jako rotmistrza 11 Pułku Ułanów. Pomagał nam jak mógł; przynosił żywność, nawet szlafroki. Opiekowali się też mną inni z 11 Pułku Ułanów w Ciechanowie: Jasio Fedoruk oraz Zofia i Stanisław Klepaczowie.

Po dwóch miesiącach leczenia dziewczęta przetransportowano do drugiego szpitala. Tam po raz pierwszy powiedziano Annie, że następna operacja głowy jest ryzykowna.

W październiku 1945 r. w Nordsbury wciągnięto ją jeszcze do polskiego wojska. Podobnie jak inne dziewczęta z Powstania Warszawskiego otrzymała bieliznę i mundur 1 Dywizji Pancerniej gen. Maczka oraz żołąd (funt na dziesięć dni).

– O mało się nie utopiłam w tym mundurze – śmieje się. – Kiedy odwiedził nas generał Anders, żartowałam, że moje dzielne piersi są do niego za małe.

W ramach Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia – już po odkomenderowaniu do North Berwick – ukończyła kurs kosmetyczny. Wciąż jednak miewała zachwiania równowagi. Przez rok znowu musiała się leczyć w kilku angielskich szpitalach. W końcu definitywnie stwierdzono, że jest to przyczyna odłamka kuli, który niefortunnie utkwiał w kości czaszki. I że ruszać go nie wolno.

– Anglicy nie chcieli podjąć się operacji usunięcia odłamka, gdyż trzeba było wierceć dziurę w kości. Obawiali się, że może on trafić podczas tego zabiegu do przepony mózgowej, co byłoby jeszcze bardziej niebezpieczne. I tak zostałam skazana na życie z nim do końca swych dni – mówi już pogodzona.

Ślub z lwowiakiem

W Kinross w Szkocji, gdzie stacjonowała 1 Dywizja Pancerna gen. Maczka, Anna prowadziła przez pewien czas wojskową świetlicę. Tam poznała podporucznika Feliksa Przyłipiaka spod Lwowa, niedoszęłego prawnika. Pięknie malował. W Kinross, 1 października 1946 r., wzięli ślub. Tam też urodził się ich pierwszy syn Wojciech (1947 r.).

Po kilku przeprowadzkach, w 1962 r. osiedlili się na stałe w Manchesterze, mając już wtedy trzech synów. W 1951 r. urodził się bowiem Stanisław, a w 1954 r. – Zbigniew.

– Czy nie myślała Pani o powrocie do Kraju?

– W pierwszych latach po wojnie mama z Ciechanowa pisała, że dopóki nie wyleczę sobie głowy, nie mam po co do Polski przyjeżdżać, bo szpitale są w opłakanym stanie. A potem już tak człowiek został... Ale zawsze tęskniłam, bardzo.

Opowiada o nieprzychylności Anglików, którzy nakłaniali ich do powrotu do „swojej, wolnej już Polski”. Na Wyspach trudno było o mieszkanie i pracę; dla Polaków oferowano najczęściej zatrudnienie w kopalniach, kamieniołomach i w rolnictwie.

– Nijak na nas nie mówili tylko „błady Pols”. Aby przeżyć, Polacy często tworzyli nawet trójkąty małżeńskie, sypiając z żonami Anglików - mówi.

W 1960 r. po raz pierwszy przyjechała do Polski, z trójką małych dzieci. W następnym roku namówiła już męża i przybyli do Ciechanowa samochodem, wszyscy razem. Od tamtej pory bywa w Kraju coraz częściej, nawet dwa razy w roku.

Zaczynali od dwóch słoików po dżemie

Początki życia Anny na emigracji też były bardzo trudne.

– Na starcie mieliśmy tylko dwa słoiki po dżemie, z których piliśmy herbatę – wspomina. – Pieluchy i dosłownie wszystko było na kartki. Musiałam kupować kawałeczki wełny, wiązać je i robić sweterki dla małego Wojtka.

Ponadto zajmowała się łapaniem oczek w pończochach, potem szyciem portmonetek oraz toreb na sprawkunki. Kurs kosmetyczny, ukończony w ramach PRC, niestety się nie przydał. Nie miała „mamony”, aby otworzyć własny gabinet kosmetyczny, a pozyskać pracę u innych nie było łatwo.

Mąż, w Polsce niedoszły prawnik, w Anglii musiał wykonywać najczarniejsze prace. Kiedy zdał na Akademię Sztuk Pięknych, ale nie został przyjęty z braku miejsc, ciął okręty wojenne. Później w Manchesterze był testerem w fabryce kabli. Zmarł, po prawie czteroletnim okresie ciężkiego sparaliżowania, w 1991 r.

Pracując i oszczędzając Przyłipiakowie dorobili się jednak własnego domu, zmieniali samochody. Synowie pokończyli szkoły, poženili się – jednak ku jej zmartwieniu – nie z Polkami. Wszyscy jednak mówią dobrze po polsku, choć ich dzieci – Anna doczekała się siedmiorga wnucząt – język dziadków znają już tylko trochę.

Najstarszy syn Wojciech ukończył Uniwersytet w Manchesterze. Jest grafikiem, fotografikiem i wykładowcą na tej uczelni. Mieszka pod Manchesterem, ma już dwie dorosłe córki, zdążył rozwieść się z angielską żoną.



Anna Olszewska-Przyłipiak (z lewej) z koleżanką w 1 Dywizji Pancernej gen. Maczka. Szkocja, North Berwick, 1946 r.



*Z mężem Feliksem Przyłipiakiem,
zdjęcie ślubne, 1 października
1946 r. Szkocja, Kinross, 1956 r.*



*Anna Olszewska-Przyłipiak z koleżankami z kursu kosmetycznego. North
Berwick, Szkocja, 1946 r.*



*Ze świeżo poślubionym
Feliksem Przyłpiakiem. Szkocja,
Kinross, 1946 r.*



*Z pierworodnym synem Wojtkiem.
Kelty, Szkocja, 1947 r.*



Anna Olszewska-Przyłipiak z mężem Feliksem, 25 lat po ślubie. Manchester, Anglia, 1971 r.



Chrzest pierwszej wnuczki Urszuli. Manchester, Anglia, 1975 r.



Anna Olszewska-Przyłipiak z mężem Feliksem, przy swym domu. Manchester, 1990 r.



Anna Olszewska-Przyłipiak jako matka chrzestna sztandaru kola terenowego I Dywizji Pancernej gen. Maczka, kościół Miłosierdzia Bożego, Manchester, 1988 r.



Grób Feliksa Przyłipiaka na Cmentarzu Południowym, ma tu spocząć Anna. Manchester, 1991 r.



Grób poetki Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, którym opiekuje się Anna Olszewska-Przyłpiak. Manchester, 1995 r.



Anna Olszewska-Przyłpiak z bratem Jerzym Olszewskim i kolegą Romualdem Wodzińskim. Ciechanów, lipiec 1996 r.



*Anna Olszewska-Przyłipiak w domu swego brata Jerzego w Ciechanowie,
lipiec 1996 r.*

Drugi, Stanisław, jest technikiem dentystycznym, ma żonę Angielkę, osiedlił się blisko matki. Najmłodszy Zbigniew wybrał sobie za żonę Tajkę i żyje w Bangkoku, prowadząc firmę handlową.

Spójna Polska w Anglii

W Manchesterze mieszka ok. 6 tys. Polaków. Anna mówi, że wykupili na własność kościół pod wezwaniem Miłosierdzia Bożego. Rozwija się przy nim działalność kulturalna i społeczna, funkcjonuje m.in. sala parafialna, bar, biblioteka, działają polskie organizacje, koła i stowarzyszenia. Anna należy do kilku z nich, m.in. do Stowarzyszenia AK-owców, Stowarzyszenia Polskich Kombatanów (ma Złotą Odznakę SPK); aktywnie udziela się w Kole 1 Dywizji Pancerniej gen. Maczka.

– Jestem już zmęczona pracą społeczną. Pora się wycofać, niech młodszy ją ciągną – narzeka.

Bezpośrednio przed wprowadzeniem stanu wojennego znalazła się wśród reprezentacji otwierającej linię lotniczą Manchester – Warszawa.

– Wszystko się jednak kończy, razem z wojenną emigracją. Co tydzień mamy kilka pogrzebów. Odchodzimy na wieczny spoczynek w zastraszającym tempie – Anna się wzrusza.

Mieszka dziś w Manchesterze sama. Jeszcze przed śmiercią męża sprzedali duży, zaznacza, że wolno stojący dom, dzieląc pieniądze po równo między trzech synów („na zadatki na własne domy”). Osiedliła się w wygodnym 100-metrowym mieszkaniu na górze laboratorium dentystycznego syna, który pracuje na dole nieraz do

północy. Czuje się więc bezpiecznie, bo ma go niemal zawsze pod ręką.

– Mam do dyspozycji aparat telefoniczny łączący moje mieszkanie na górze z laboratorium syna na dole – cieszy się, bo nie czuje się samotna.

Jest bardzo rodzinna. Ze wszystkimi dziećmi i wnukami utrzymuje bliskie kontakty, dba o polskie tradycje, przekazując je następnym pokoleniom.

– Wszystkie święta obchodzone są u mnie, po staropolsku. Obecnie przychodzi już 15 osób – podkreśla Anna.

Trudne, ale szczęśliwe

Jak ocenia swe życie?

– Jako trudne, ale udane – odpowiada. – Byłam z mężem bardzo szczęśliwa; okazał się dobrym człowiekiem. Nie wyobrażałam sobie wydać się za mąż ponownie, choć po jego śmierci miałam adoratorów. Ale nie chcę nikogo.

Po śmierci męża bywa w Ciechanowie coraz częściej. Utrzymuje bliskie stosunki z rodziną, szczególnie z bratem Jerzym („choć leń do pisania listów”), odwiedza znajomych, bywa na zjazdach absolwentów swego gimnazjum.

Wciąż żyje z odłamkiem w głowie.

– Dokucza mi przez cały czas, szczególnie na zmiany pogody. Mam wtedy zawroty głowy, drętwienie szyi, czasem na kilka sekund tracę przytomność. Ale już się przyzwyczaiłam.

Kiedy jednak ktoś ją pyta jak się miewa, niezmiennie odpowiada: „na chodzie”.

– Zawsze była samodzielna, nie pozwoliła sobie pomóc już jako dziecko – komentuje brat Jerzy.

– Ciechanów teraz wypiękniał, rozbudował się. Tylko bliskich nad Łydynią coraz mniej – ubolewa Anna.

Powróci syn Anny

Anna Olszewska-Przylipiak została odznaczona m.in. Krzyżem Walecznych, Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Armii Krajowej, Medalem Wojska Polskiego, angielskim Medalem Wojny. Zdecydowała już, że zostanie pochowana przy mężu w Manchesterze. Na cmentarzu angielskim Barlow Moor Road, ale w polskiej kwaterze, gdzie leżą w jednym grobie m.in. Maria Pawlikowska-Jasnorzewska z Kossaków (zmarła 7 lipca 1945 r.) wraz ze swym mężem kapitanem pilotem Stefanem (zmarł 23 sierpnia 1970 r.). Spoczywa też tam generał Ludwik Kmicie Skrzyński z 11 Pułku Ułanów w Ciechanowie (zmarł 14 lutego 1972 r.), który stracił swych dwóch synów w Powstaniu Warszawskim.

– Kiedyś zamierzała razem z Felkiem spocząć w Ciechanowie – mówi Jerzy. – Ale jak ostatni raz odwiedziła z nim Polskę, a były to czasy „kartek”, stwierdzili jednomyślnie, że nie wrócą tu „za skarby świata”.

Farmaceuta cieszy się jednak, że na rodzinnych włościach zamierza się osiedlić najstarszy syn Anny – Wojciech. Wykupił on już 25 proc. wartości rodzinnego obiektu przemysłowego (37,5 proc. udziałów ma w nim

też jego matka Anna) i zamierza na emeryturze, tzn. za pięć lat, przeprowadzić się na stałe nad Łydynię.

– Mam nadzieję, że jeszcze go doczekam - uśmiecha się, liczący 75 lat, żyjący samotnie farmaceuta Jerzy Olszewski. – Rozumiem go, bo byłem w Anglii aż pięć razy i nigdy bym nie chciał tam mieszkać.

BIBLIOGRAFIA

Jan M. Ciechanowski: *Powstanie Warszawskie* (Odnova, Londyn 1971).

Juliusz Englert, Krzysztof Barbarski: *General Anders* (Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego, Londyn 1989).

Komisja Historyczna Polskiego Sztabu Głównego w Londynie: *Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej* (Instytut Historyczny im. gen. Sikorskiego, Londyn 1951).

Wiesław Król: *Zarys działań polskiego lotnictwa w Wielkiej Brytanii 1940-1945* (Wydawnictwa Komunikacji i Łączności, Warszawa 1990).

Praca zbiorowa: *Cud nad Tamizą* (Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny, Londyn 1989).

Praca zbiorowa: *Na wzburzonych falach życia* (Hobart - Tasmania 1995 r.).

Wiesław Antoni Lasocki: *Z Ciechanowa w daleki świat* (Muzeum Okręgowe, Ciechanów).

Wiesław Antoni Lasocki: *Wojtek spod Monte Cassino* (Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1989).

Wiesław Antoni Lasocki: *Przez tundrę i pustynie* (Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1993).

Antoni Skiba: *Boje 19 Pułku Ułanów Wołyńskich w kampanii wrześniowej* (Wydawnictwo „Przeglądu Kawalerii i Broni Pancernej”, Londyn 1971).

Henryk Smaczny: *Księga Kawalerii Polskiej* (Przedsiębiorstwo Zagraniczne TESCO, Warszawa 1989 r.).

SPIS TREŚCI:

	Str.
Niezapomniani...	5
Od autorki	9
U artylerzysty, pilota RAF-u, pedagoga	11
U szwoleżera, kaletnika, działacza	67
U prawnika, kawalerzysty, pisarza	115
U Marii, ekonomistki, żony rotmistrza	165
U Anny z AK, uczestniczki Powstania Warsza- wskiego	185
Bibliografia	209